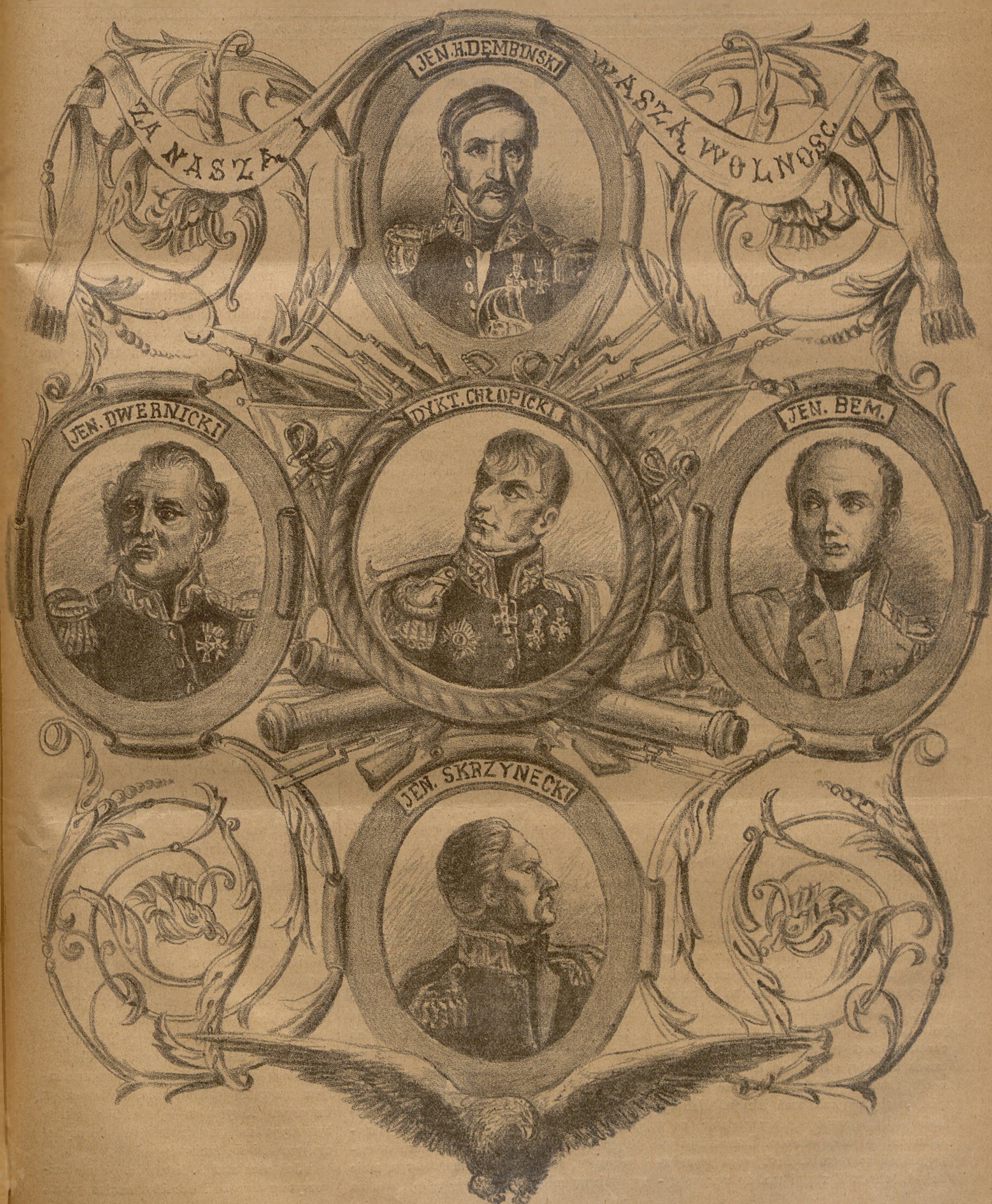
Nr. 34. Rok III.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH



WODZOWIE POLSCY.

(Rysowane podług starych portretów).

CZASOPISMO ILLUSTROWANE WYCHODZI TRZY RAZY Lwów, 20. Listopada 1880. NA MIESIĄC: 1, 10 i 20 każdego miesiąca

Prenumerata wynosi we Lwowie:		Na prowincji (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. — ct.	rocznie	10 zł. 20 ct.
półrocznie	4 „ 50 „	półrocznie	5 „ 10 „
kwartalnie	2 „ 25 „	kwartalnie	2 „ 55 „
miesięcznie	— .. 75 „	miesięcznie	„ 85 „

W Poznańskiem i Prusach 5 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 6 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznanskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi.

Numer pojedyńczy 30 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja **Dziennika dla Wszystkich** przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji Dziennika dla Wszystkich we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse: A. Oppellik Stubenbastei 2; Rotter et Comp. I. Riemergasse 19; Daube et Comp. Maximilianstrasse 3: w Frankfurcie n. M., Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i w Szwajcarji: Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adama rue Clément 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.

1830.

29. LISTOPADA.

Wszystkim, którzy walczyli i cierpieli za Polskę, umarłym i żywym, w 50-letnią rocznicę wielkiego dnia w dziejach narodu naszego — cześć i sława po wieczne czasy!

Wspomnienia ucznia

Uniwersytetu Warszawskiego z roku 1830.

Jeszcze w miesiącu wrześniu 1830 roku, zaraz po powrocie z wakacji, wielu uczniów uniwersytetu, obudzeni i wstrząśnieni wypadkami Zachodu, gromadzić i ściślej wiązać się poczęli.

Nie tylko rewolucja lipcowa, ale świeży sąd sejmowy, pogrzeb ś. p. senatora Bielińskiego, a szczególniej silny i wytrwały duch Henryka Dąbrowskiego do ostatniego tchu życia cały oddany Polsce, niewymownie działał na umysły młodzieńcze. Dwa szczególniej utworzyły się kółka nie liczne co do osób, ale energiczne i wywierające nie mały wpływ na współkolegów.

Jedno z tych kółek zbierało się w mieszkaniu Jana Bartkowskiego, rodem z Działdowa, z zachodnich Prus, tam uczęszczali: Aleksander Liedtke, Napoleon Szymański, Leopold Gewartowski, Stanisław Faliński, Rzewuski Hipolit, A. L. i Kruszelnicki. Ze szkoły podchorążych: Wincenty Ganz, Mazowiecki, Dutkiewicz i Czernik.

Drugie kółko zbierało się przy ulicy Danielewiczowskiej, w dawnym gmachu biblioteki Załuskich, gdzie była rządowa drukarnia, na drugim dziedzińcu. Tam mieszkali: Niemojewski Zeno, Nasiorowski Walenty, Szwejcer Michał, Nowicki Ksawery, Łabecki Juljan i kilku innych.

W tem ostatniem kółku zjawił się raz tylko Ludwik Wołowski dla dostania języka i raz także Rzewuski z artylerji, zdaje mi sie Adam, którego młodzież życzyła sobie mieć naczelnym wodzem. Dwa te kółka nie mogły długo pozostać w odosobnieniu, do jednego dążyły celu, jednym przejęte duchem, jednego też dnia po dwóch, czy po trzech z każdej strony pod Kopernikiem się zeszli i tam po krótkiej rozmowie postanowiono, żeby najprzód broń jaką już mieli wypróbować i wprawić się w strzelanie, co w kilka dni potem dopełniono. Zamożniejsi powyjeżdżali za rogatki, Dutkiewicz poprowadził dwóch na Foxhal i tam do starego dębu przyczepiwszy na nim kawałek papieru kilkakrotnie strzelali; gdy w tem nadszedł książę Woroniecki, pułkownik konopolców, prosząc o zaprzestanie, gdyż w pobliżu w dolnem mieszkaniu żona jego chora, trwoży się tymi strzałami.

Zaprzestano natychmiast. Już też w owym czasie, zdaje mi się w pierwszych dniach października, coraz więcej rozszerzano pogłoski, że nastąpi wkrótce wybuch. Czujniejszą była policja, a w naszem własnem kółku nie przypuszczali nawet, że czuwał nad nami, każdego z nas najmniejszy ruch i słowa notował i zawiadamiał o tem policję, kolega nasz Kruszelnicki. Dla jakich zaś przyczyn chciano rzecz przyśpieszyć, niewiem, dość, że dzień 18 października, był dniem wyznaczonym i wieczorem tego dnia dosyć późno, bo na dworze ciemno już było, wyszło nas kilku uzbrojonych i niepewni gdzie się zebrać mamy, ciągnęliśmy do św. Krzyża Krakowskiem przedmieściem aż ku Bernardynom. Czas był posępny, na dworze błotno, uszedłszy dosyć daleko, dobiegł do nas Walenty Nasiorowski oznajmując, że jakieś wyższe kółka pragną odwlec wybuch do wiosny, dla bardzo ważnych powodów. Zniechęceni już od samego wyjścia napotykaniem różnych przeszkód, a jeszcze bardziej, że podchorążych z nami nie było, rozeszliśmy się z rozpaczą w sercu, że już nam samym zginąć przyjdzie nic nie zdziaławszy. Jednak po niejakim czasie, uspokoiliśmy się i pilno i regularnie na kursa uczęszczaliśmy. Około tegoż czasu wezwał mnie Wiktor Józefowicz w imieniu kółka, gdzie był Niemojewski, żeby obejrzeć do koła Belweder i zdać sprawę o rozstawieniu wart. Dosyć późnym wieczorem udaliśmy się tam — do koła pusto, ledwie lampy przyświecały, na warcie stojących zdaje mi się tylko dwóch dojrzeliśmy opartych o budki swoje i nikogo nie napotkawszy, powrociliśmy do domu. Ale już wówczas nie tak kółka jak cała młodzież wrzeć caraz więcej poczęła i już nie w skrytości działać zamierzała. I tak w pierwszych dniach listopada, jeden z uczniów uniwersytetu, nazwiska nie pomnę, wezwał mnie w imieniu młodzieży, by się udać z nim na Pragę i tam zamówić żałobną mszę św. na rocznicę wyrżnięcia Pragi. D. 3. listopada we dwóch udaliśmy sie aż na koniec Pragi, do kościółka blizko rogatek będącego, zwano go, jeśli się nie mylę Loretańskim; tam prosiliśmy wikarego, by nazajutrz d. 4, raczył odprawić żałobną mszę św. za poległych, na koszta zaś obchodu, żeby zakrystjan z tacką obszedł po kościele, a znajdzie dostateczną ilość na ich pokrycie. Nazajutrz pomiędzy 10, a 11 kościółek od młodzieży zapełniony. Zapał jakiś, a zarazem spokój na tych twarzach panował, przeszedł kościelny wśród młodzieży i zebrał obficie, nikt nie mógł dać mniej, niż 5 złp.. kto nie miał, zapożyczał się od sąsiada, przemagały jednak różowe papierki. Po skończeniu nabożeństwa, wyniosła się młodzież, dwóch zaś, co zamówili mszę św. pozostali na Pradze. Na moście skupieni uczniowie w szeregach postępowali. Nadbiegł wówczas kapitan Jurgaszko z żandarmerją, zapóźno był zawiadomiony, zelżony i podobno poturbowany, spiesznie powrócił do wielkiego księcia z raportem, co mu się przytrafiło. Nazajutrz 5go, zamówione było nabożeństwo u Kapucynów, ale nie przez młodzież i mała jej też tam liczba była.

Podobne manifestacje spowodowały, że rektor uniwersytetu, ksiądz Szwejkowski, czy z własnej woli, czy z wyższego rozkazu, powołał do wielkiej sali uniwersytetu wszystkich uczniów. Zapełniona była sala. Ks. rektor, którego uczniowie bardzo poważali, wielu z nich umiało na pamięć mowę jego wypowiedzianą za Ks. Warszawskiego, na poświęceniu Orłów polskich. Zasiadł sam. Przedstawił w głosie swym, w którym jakiś żal i goryczą panowały stan Królestwa polskiego od roku 1815. Bardzo powiększona ludność, pobudowane nowe drogi, kanały, mosty, zwiększający się dobrobyt, przemysł, rolnictwo podniesione, założony uniwersytet, młodzież uwolniona od rekruta, a dla niej otwarta karjera nie tylko w Królestwie, ale i w całem Imperjum Rosyjskiem — sposób w jaki to było wypowiedziane dawał wiele do myślenia, rozeszli się zaniepokojeni.

Już nazajutrz 9. listopada, pedele uniwersytetu, wzywali uczniów bardzo wczas,

ale tylko z kółka Bartkowskiego, lub takich, którzy się z niem przypadkiem stykali, do kancelarji uniwersyteckiej.

Około 9 z rana, stawiłem się u samego ks. rektora i wprowadzony do jego sypialnego pokoju. Tam ks. rektor wskazując mi krzesło wzmiankuje, że ma przeszło 60 pytań, na które obowiązany jestem odpowiedzieć, on zaś odpowiedzi spisywać. Protokół ten trwał długo, pozwolono mi wreszcie wyjść do kancelarji uniwersyteckiej. Przechodząc przez pokoje widziałem Aleksandra Liedtkie, indagowanego przez L. Osińskiego; innych olegów dziekani uniwersytetu indagowali. Sekretarz uniwersytetu, zmęczonym i zgłodzonym postarał się o obiad. Razem go wszyscy indagowani spożyli i wspólną rozmową pokrzepili się nieco na duchu. Już nas ztamtąd nie puszczono. Wieczorem w dużym pokoju obok kancelarji zebrali się: ks. rektor, wszyscy dziekani i cała kuratorja; tam każdego z osobna indagowano, a Kruszelnicki w oczy każdemu wypowiadał, co który z nas mówił, co robił, gdzie i kiedy wychodził. Rozkaz wyższy nadszedł, żeby nas każdego z osobna zatrzymano. Pomieszczono wszystkich kolegów w salach uniwersyteckich, mnie zaś pozostawiono w pokoju ks. rektora i ten mi na noc przysłał do przykrycia się własny swój płaszcz.

Nazajutrz przybyli do uniwersytetu jenerałowie: Stanisław Potocki, Rautenstrauch i Rożnecki.

W tejże samej sali zajęli pierwsze miejsce. Za nimi rektor, dziekani, sekretarz uniwersytetu i kuratorja. Jenerał Rautenstrauch znowu każdego z osobna indagował. Po ukończeniu tych indygacyj, pozamykano nas w gmachu, gdzie był zbiór mineralogiczny pod dozorem stróża; na dziedzińcach zaś uniwersyteckich czuwali agenci policyjni. Jednego z następnych dni, wczas rano obudzony byłem i wezwany do ks. rektora. Udałem się natychmiast. Powiedział mi, że tu chodzi o ocalenie uniwersytetu, że będzie skasowany, jeżeli przekonanie nastąpi, że uczniowie bez żadnego innego wpływu działali, że sami, jako będący w związku zgubieni są; upraszał więc, żeby wskazać, ktoby na nas wpływał, podawał nawet imiona, które głos publiczny wygłaszał, że byli głównemi sprężynami niepokojów. Na to nie mogłem nic odpowiedzieć, osób wymienionych przedtem nie znałem, tem bardziej nie słyszałem nigdy, żeby jakiś wpływ wywierali na młodzież. Odszedłem więc, i cały ten tydzień wraz z kolegami przesiedziałem w uniwersytecie; ztamtąd przeniesiono nas, ale już w mniejszej liczbie do św. Krzyża. W tem więzieniu znów tydzień przepędziliśmy, odwiedził nas raz kurator uniwersytetu hr. Fredro powtarzając każdemu, że się wielkie nieszczęście stało. Ostatniego dnia tego tygodnia późno wieczorem, czytałem przy świecy jakieś dziełko wypożyczone mi przez ks. rektora, gdy zbliżywszy się do okna, ujrzałem, że wszystkie światła w celach moich kolegów pogasły, sądziłem, że się już spać pokładli, sam się też położyłem. Gdy w tem, drzwi się otwarły i wszedł urzędnik policyjny i kilku z nim pachołków. Prosił, żeby się ubrać, że mamy pójść do uniwersytetu. Ubierając się, widzę, że pościel i wszystko com miał zabierają, a przeszedłszy dziedziniec i bramę, ujrzałem tuż przed nią dorożkę. Zapytałem, jeżeli do uniwersytetu to tak blizko, po cóż dorożka? To taki nakaz. Wsadzono mnie, ale zamiast do uniwersytetu wieziono mnie w koło ratusza aż na Leszno. Na tej ulicy raz tylko byłem po przybyciu do Warszawy w sierpniu, czy wrześniu 1829, a przechodząc przez nią, taki mnie jakiś niepokój ogarnął, że więcej już w tę stronę się nie zapuściłem; poznałem ją po jej samotności. Dorożka stanęła przed bramą. Otworzono. Zaledwie krok za nią stanąłem, drzwi się zatrzasły, gdzie się obrócić nie wiedziałem, szedłem jednak kilka kroków, gdy z jednej strony głos „kto idzie“ z drugiej podobnież — odpowiedziałem, że idę, ale gdzie nie wiem, dopiero ktoś ze schodów zbiega i mówi, a, to numer 18ty, 18ty prosimy. Dowiedziałem się więc że się nazywam 18ty i zaprowadzono mię pod ten numer. Nadszedł kapitan Niewodowski komendant więzienia, kazał mi pooddawać wszystko co miałem, zapisał i życzył dobrej nocy. Większa to była znacznie ta izba, od tej w której siedziałem u św. Krzyża, ale okno zakratowane, a na zewnątrz koszem pokryte, tak, że tylko z góry światło dochodziło. Zaraz po zamknięciu mojej celi usłyszałem głosy i otwieranie do sąsiedniej izby, ale kogoby tam wprowadzono, dla wielkiej wrzawy, jaką zrobiono, sąsiada głosu niepoznałem. Dopiero w nocy, dosyć późno, słyszę pukanie w róg muru, gdzie łóżko stało, pukałem i ja, ale nieznając alfabetu wieziennego, wkrótce zaprzestałem i zawołałem półgłosem: „kto ty jesteś“ i nazwisko moje wymówiłem, a sąsiad swoje. Był to Ksawery Nowicki. A więc i drugie kółko już szarpnięte było, z drugiej bowiem strony miałem za sąsiada Ludwika Wołowskiego, za Nowickim siedział Hipolit Rzewuski, dalej Feliński. Zatrwożyłem się bardzo, bo przypuszczałem już, że skoro tych uwięziono, to pójdzie i dalej i nie młodzież sama, ale i wojsko dosięgniętem będzie. W ośm dni przed tem, gdym siedział w sali mineralogicznej, z drugiego kółka, Leon Górzeński, zawiadomił mię, że koledzy jego pragną, żebym uciekł, wyjście z Warszawy ułatwią mi, a na drogę mają zebrać 2000 złp. ale go już więcej po tem nie zobaczyłem—pewnie był uwiezionym.

Ostatni ten tydzień pobytu w więzieniu przeszedł dosyć spokojnie. Raz tylko odwiedził nas naczelny lekarz i to w ostatnim dniu w towarzystwie wojskowych kilku i po wybadaniu stanu zdrowia, pożegnał.

Dzień to był pamiętny, ale i straszny ten dzień 29 listopada. Wieczorem na dworze cichość wielka — zdala dosłyszeć można było najlżejsze kroki zabłąkanego w te strony przechodnia, gdy nagle usłyszeliśmy trzask w niewielkim bardzo oddaleniu... Co by to znaczyło pojąć nie mogłem—naraz ze wszystkich cel koledzy dzwonić poczęli, wszyscy, bowiem, sądzili, że to pożar i że klasztor się pali — jam stanął blizko drzwi i usłyszałem żołnierzy dosyć cichym głosem, że kapitan kazał strzelać, gdyby się więźniowie dobijali. Aż wkrótce potem krzyki już bardzo bliskie: „Do broni koledzy, do broni!“ a do bramy szturm przypuszczali, a gdy już coraz gęstsze strzały padały z ulicy, a żołnierze z więzienia odpowiadali, rozpacz mię opanowała i bez namysłu skoczyłem pędem do okna, do drzwi i potrzaskawszy je, na korytarz wybiegłem, tam porwałem łupkę drzewa przed piecem leżącą i wybiłem drzwi Wołowskiemu, Nowickiemu i Rzewuskiemu Hipolitowi. Ale już brama więzienia otwartą była. Wpadli na korytarz ludzie wybijać drzwi innym kolegom — wyszliśmy — kapitan Niewodowski ranny w ramię, Woronicz Janusz, co się dobijał do bramy wraz z rzeźnikami ranny w bok. Kobieta jakaś, naprzeciwko mieszkająca, która jedna tylko w Warszawie widziała, jak naś zwożono do więzienia, dostała kulą w brzuch i padła przed bramą, w której stała. Trzask, który w więzieniu słyszeliśmy, było starcie się pułku 4 z wołyńcami, tam zginął na czele rosyjskiego pułku polski jenerał Blumer. Już wtenczas w Warszawie wojsko działało, już był pewien plan, pewien kierunek, nam już należało tylko łączyć się z niemi i spełniać, co polecono.

A. P.

Kronika krajowa.

† Nie zwykle obszerne miejsce zajmują w dzisiejszej *Kronice* wspomnienia pośmiertne. Dnia 16 listopada, zmarł we Lwowie ś. p. *Stanisław Dobrzański*, dyrektor artystyczny teatru lwowskiego, artysta i literat. Ciężka i nieuleczalna choroba, która już od kilku lat trapiła zmarłego, kazała się co chwila spodziewać katastrofy, pomimo jednak tego, śmierć ś. p. Dobrzańskiego, wywołała ogólne i bolesne wrażenie... Zmarły zgasł w kwiecie wieku, bo w 34 roku życia. Być może, iż cierpiący swój żywot, byłby jeszcze przedłużył na pewien czas, gdyby nie nagła strata jednego z synów, który upadł pod ciosami panującej epidemji między dziećmi we Lwowie... Strata ta, tak boleśnie dotknęła ś. p. Stanisława, że niespełna w tydzień, podążył za ukochanem dzieckiem, zostawiając żonę i dwoje sierot na ziemi...

Stanisław Dobrzański, jako artysta komiczny, zajmował jedno z najwybitniejszych miejsc, a dziś na scenie lwowskiej, nikt go zastąpić nie potrafi; jako dyrektor, przy całem swoim drażliwem usposobieniu, które nie wypływało z charakteru, lecz z trapiącej go choroby — był jednym z tych najzdolniejszych kierowników artystycznych, którzy nie oglądają się na koszta, byle honorowi sztuki stało się zadość. Podwyższenie też gaży artystom sceny lwowskiej, których wysokość nie praktykuje się na żadnej scenie polskiej, nawet na warszawskiej, zawdzięczyć należy ś. p. Stanisławowi Dobrzańskiemu. Jako literat, komedjo-pisarz, zmarły odznaczał się przedziwnym humorem, a chociaż utwory jego noszą na sobie wszystkie znamiona farsy, ostatni z nich w 1 akcie: „Cielec złoty“, posiada głębszą myśl i jest satyrą w całem znacze-

*

niu tego wyrazu. Oprócz kilku jednoaktowych komedyj, których tytuły wyszły nam z pamięci w tej chwili, ś. p. Dobrzański napisał 3-aktową komedję p. t.: „Żołnierz królowej Madagaskaru“ z wielkim powodzeniem przedstawianej na scenach, i przetłumaczył bardzo wiele sztuk z francuzkiego języka.

„Dziennik dla Wszystkich“ traci w zmarłym życzliwego przyjaciela, o którego zacznem sercu i sumienności, w kilku okolicznościach miał się sposobność przekonać — o ile tylko też było w naszej mocy, staraliśmy się zawsze i wszędzie okazać naszą wdzięczność i dziś stając z głębokim smutkiem w obec świeżo usypanej mogiły, wdzięczność i przyjaźń naszą, jeśli one mogą się stać pożyteczne, zatrzymujemy dla tych, których ś. p. zmarły kochał i pozostawił między nami...

Portret śp. Stanisława Dobrzańskiego, zamieściliśmy w „Dzienniku dla Wszystkich“ w Nr. 61. z 1879 r. i dla tego obecnie go nie zamieszczamy.

Pogrzeb odbył się dnia 18. listopada o godzinie 3ciej po południu, przy wielkim udziale publiczności, oraz literatów i artystów. Przed domem i nad grobem śpiewały chóry teatralne, pod przewodnictwem p. Jareckiego. Nad mogiłą przemówił rzewnemi słowy artysta dramatyczny p. Zboiński. Trumnę od mieszkania aż na cmentarz, nieśli na barkach koledzy, przyjaciele i znajomi.

Koło literacko-artystyczne (pols.) w Pradze, wybrało na walnem zgromadzeniu prezesem p. T. Jeske-Choińskiego, wiceprezesem zaś pana Jelinka. Do komitetu sekcji literackiej, której prezesem jest również p. Choiński, należą wszyscy prezesi, redaktorowie i znaczniejsi literaci.

---

† Z Paryża pisma codzienne doniosły o śmierci znakomitego fortepianisty i kompozytora Edwarda Wolffa.

Ś. p. Wolff, warszawianin, należał do prawdziwie artystycznej plejady kompozytorów-muzyków ze schyłku pierwszej połowy bieżącego stulecia, wśród których z jaśniejącym na ich czele Szopenem, wybitnieli Beriot, Thalberg, Vieuxtemps i inni.

Utwory Wolffa, duchem swojskości natchnione, pełne melodji wdzięcznej i elegancji, do dziś dnia zajmują w muzyce salonowej miejsce pierwszorzędne.

W rękopiśmie pozostawił Wolff wiele prac cennych.

Umarł w wieku lat 66.

Dnia 25. października, pod Piwniczną, zgorzała fabryka giętych mebli firmy Wagner et Comp. w Bielsku — jako filja założona w Piwnicznej. Budynek wartości 8.000, a zapas mebli do 45.000 złr. Wszystko to było zaasekurowane w towarzystwie angielskim (gdyż krakowskie nieprzyjęło.) Ogień powstał przez szparę w ścianie ceglanej z pod kotła do suszarni i chwycił materjał suchy na 100 sągów zgromadzony. Ludzie zostali tymczasem bez roboty, a gmina dająca 30 podwód dziennie, bez zarobku. Zostały tylko popękane mury — z których firma przyrzeka do 3 miesięcy nowy gmach postawić.

---

† Z Warszawy smutną odbieramy wiadomość. Dnia 9 listopada b. r. po długich i bolesnych cierpieniach zmarła tam w 62 roku życia ś. p. Konstancja z Damzów *Turczynowiczowa* małżonka byłego dyrektora baletu, niegdyś prima - balerina warszawskich teatrów. Ś. p. Turczynowiczowa przemieszkiwała z rodziną przez parę lat we Lwowie, gdzie córka jej, Marja, występowała w teatrze i dopiero w skutek rozwijającej się choroby matki, opuścić musiała scenę lwowską, na której zjednała sobie sympatję i uznanie dla swego rozwijającego się talentu. Z rzewnem i głębokiem współczuciem dla zacnego domu Turczynowiczów, kreślemy tych kilka słów pośmiertnego wspomnienia, a kreślemy z tem żywszą boleścią, że w zmarłej tracimy co raz rzadziej napotykający się typ, w całem znaczeniu tego wyrazu, cnotliwej kobiety, kochającej bez obłudy ludzi i sztukę..

Mieliśmy szczęście i zaszczyt bliżej poznać zmarłą i jej rodzinę, gdy Turczynowicze mieszkali we Lwowie i nigdy nie zatrą się nam w pamięci i sercu piękne, szlachetne i łagodne rysy charakteru zmarłej, która przebywszy całą młodość swoją na scenie warszawskiej z przemianami występów gościnnych wraz z mężem na najpierwszych scenach zagranicznych — służyć może młodemu pokoleniu za wzór kobiety, polki i artystki...

Gościnny, owiany rodzinnem ciepłem dom Turczynowiczów we Lwowie, był, jakby oazą wśród oschłych stosunków towarzyskiego życia lwowskiego, a ś. p. Turczynowiczowa pomimo dotkliwych cierpień fizycznych, pociągała wszystkich niezrównaną słodyczą i zaletami zacnej kobiety.

Cześć pamięci tej czystej duszy błyszczącej wszystkimi skarbami niepokalanych niczem cnót niewieścich!... Cześć cieniom artystki, która wzniosłszy się do pierwszorzędnego stanowiska w swoim zawodzie, umiała pogodzić zamiłowanie sztuki z miłością i ze świętymi obowiązkami żony, matki i wiernej córki tej łzami i krwią przesiąkłej Polski naszej!..

---

† Ś. p. Aleksander Tyszyński, znakomity współczesny nasz krytyk, były profesor historji literatury polskiej w b. Szkole głównej warszawskiej, umarł dnia 6 b. m. w rodzinnej wsi swojej Miassocie w powiecie wilejskim. Ostatni to prawie pisarz z tej świetnej plejady, która w trzecim dziesiątku lat bieżącego wieku tak wysoko postawiła naszą literaturę. Ś. p. prof. Aleksander Tyszyński urodził się w roku 1811 w Petersburgu. Wykształcenie uniwersyteckie pobierał w Wilnie, gdzie skończył kursa prawa i administracji i otrzymał stopień kandydata nauk moralno-politycznych. W r. 1838 przybywszy do Warszawy, dał się poznać pracami swemi, przeważnie z zakresu krytyki literackiej w ówczesnych czasopismach: „Piśmiennictwo Krajowe“ i „Przegląd Warszawski“. Należał on także do pierwszych założycieli „Biblioteki Warszawskiej“, którą zasilał oryginalnemi pracami. Drukował tutaj „Początki filozofii krajowej, i „Rys historyczny oświecenia słowian. Próbował także sił swoich w powieści. Wydał osobno pod formą powieści rodzaj studium literackiego p. t. „Amerykanka w Polsce,“ (2 tomy, Petersburg 1837), gdzie pod postacią amerykanki piszącej listy do swoich krewnych do Ameryki o ruchu literackim w Polsce, skreślił życie i barwny obraz ówczesnego stanu naszego piśmiennictwa. Do tej epoki zaliczyć należy jego książkę „Morena, czyli powieści blade“ (Warszawa 1852) i „Rozbiory i krytyki“ (3 tomy, Petersburg 1859). W roku 1866, mianowany został profesorom literatury polskiej w Szkole Głównej. Pamiętają słuchacze jego wykład sumienny, może mniej świetny, ale za to pracowity i pouczający. Obowiązki te pełnił aż do przekształcenia Szkoły Głównej na uniwersytet ros. (w 1870 r.) Po opuszczeniu katedry przeniósł się do rodzinnej swej wsi Miassoty i w r. 1872 ogłosił drukiem duże dwutomowe dzieło p. t. „Zasady krytyki powszechnej,“ oraz w roku 1875 „Wizerunki polskie, zbiór szkiców literackich.“ Zasilał też stale „Wiek“ warszawski swemi pracami. Wizerunek zmarłego podamy później.

Projekt drogi żelaznej z Iwangrodu (Demblina) do Dąbrowy na Kielce i Radom, jak się dowiaduje „Tydzień piotrkowski“, został już w Radzie państwa zatwierdzony, a koncesję na budowę tej drogi otrzymał p. Bloch, bankier warszawski.

Czytamy w „Wieku“: W powiatach dubieńskim i rowieńskim, w majątkach hr. Dunina Karwickiego i księcia Czetwertyńskiego znaleziono niewątpliwe ślady lignitu, o którego jednak eksploatacji dotąd nie pomyślano. W powiecie znów żytomierskim, w Groszkach, Jagodziencе, Turczynce, Rudnie, Kropiwce i Wolanszczyznie odkryto pokłady labradoru, który mianowicie w Groszkach, niemałemi odznacza się zaletami. Ziemia nasza odkrywa nam coraz więcej skarbów w łonie swojem ukrytych, my atoli niestety! korzystać z nich nie umiemy.

W konkursie na kasetkę na akwarele, które Galicja ma arcyksięciu Rudolfowi z powodu jego zaślubin ofiarować, komitet albumowy wybrany w Łupkowie, uznał szkice pp.: Karola Zaremby, Odrzywolskiego i Zachariewicza za najlepsze, o równej i znakomitej artystycznej wartości. Szkic p. Zachariewicza został wybranym do wykonania tylko jedynie z powodu, że pomysł jego odpowiada najwięcej potrzebie i przeznaczeniu daru, a nadto łatwiejszym jest do wykonania w tym krótkim przeciągu czasu, jakim w obecnym wypadku rozporządzać można. Wszystkie prace nadesłane w skutek wezwania komitetu, mają być dane na wystawę sztuk pięknych w Krakowie, a to na prośbę dyrekcji Tow., a następnie ofiarowane Muzeum przemysłowemu we Lwowie. Prac tych było podobno jedenaście.

Wydział czytelni akademickiej w Krakowie, wydał sprawozdanie z czynności za rok 1880. Rozwój towarzystwa dość pomyślny, stan materjalny nie mniej dobry, a co do rozwoju działalności, to przyznać trzeba, że czytelnia akademicka krakowska, zasługuje na szczerą pochwałę. Oto przedewszystkiem zasłużyło się to towarzystwo bardzo energicznem zajęciem się składką na pomnik Mickiewicza, a rezultat okazał się taki, że zebrano 11.564 złr. 33 kr. wprost za staraniem czytelni. Dodajmy do tego gorliwe zajęcie się obchodem jubileuszu Długosza i wystawienie obrazu dramatycznego Dr. Szujskiego: „Długosz i Kalimach“, a zbyteczne będzie wspominać o czynnościach drobniejszych. Nie zapominajmy przytem, że czytelnia uroczyście obchodzi wszystkie rocznice narodowi naszemu drogie, że umie uczcić, co wzniosłe i piękne, tak w naszej przeszłości, jak i w czasach obecnych, a trudno jej odmówić uznania. W przedmowie wydziału zauważaliśmy, zlekka wymówiony żal do starszych kolegów, że nie zajmują się sprawami czytelni gorliwie i coś nakształt przymówki, że grzeszą przeciw koleżeństwu. Mamy nadzieję, że skarga ta będzie dostateczną do przywołania winnych do ich powinności. Zauważano, zresztą, powszechnie, że między starymi, a nowo przybywającymi członkami tak czytelni, jak uniwersytetu w ogóle, panuje chłód. Przypominamy, że częste używanie wyrazu: *kolega*, nie wystarcza do utrzymania prawdziwego koleżeństwa.

Górnictwo w guberni kieleckiej. Roboty około osuszenia kopalni galmanu w olkuskiem mają być prowadzone z przyszłą wiosną — jak donosi korespondent „Gazety Warszawskiej“ jeszcze energiczniej, niż obecnie.

Inżynier p. Kosiński, zarządzający robotami przy osuszaniu kopalni olkuskiej, odbywał prawie przez pół roku poszukiwania geologiczne w guberni kieleckiej, przy pomocy dwóch inżynierów górniczych, przysłanych przez departament górnictwa w Petersburgu.

Rezultaty badań tych, jak rokują inżynierowie, mają być świetne

---

Od pewnego z panów majstrów szewckich z prośbą o zamieszczenie, odbieramy pismo następujące:

„Jeżeli w którem, to w szewckiem rzemiośle pozostało jeszcze dużo nastroju z przeszłości, który nietylko nie zgadza się z dzisiejszą cywilizacją, ale jest nawet często źródłem wad i przyczyną niepowodzenia majstra i czeladnika. Ponieważ nikt się w „Dzienniku dla Wszystkich“ nie odezwał w tym przedmiocie, przeto muszę o niego zaczepić i upraszam szanowną redakcję, aby raczyła zamieścić następujące uwagi:

Święty Michał minął — powtarza majster i czeladnik. Majster zaczyna gderać, że światło dużo kosztuje; a czeladnikowi cięży na sercu, że przez pół roku będzie zmuszony pracować przy świetle.

Wieczorna praca rozpoczynała się podług starego zwyczaju świeczkowem (Lichtgans) było to jakby zachęceniem do wieczornej pracy, dziś jednak z wielu względów uchyla się ten zwyczaj.

Chociaż znany nam jest przebieg pracy w naszych pracowniach, to jednak dla łatwiejszego porozumienia się, przedstawię szczegółowo pozostałości z dawnych zachwalanych czasów, a może przy dzisiejszych wymogach postępu, da się choć w części usunąć przyczynę narzekania majstra i czeladnika.

Dawniej, gdy nie było sklepów z gotowem obuwiem i robiono tylko na zamówienia, majster kupował zwykle w niedzielę po południu towar podług otrzymanych zamówień. W poniedziałek rano wysełał chłopców i czeladź do kościoła, bo w niedzielę nie było czasu. Po powrocie otrzymywał czeladnik wiktowe, gdyż zwykle z niedzieli nie zostało nic w kieszeni, a mając znowu parę groszy, tem swobodniej wychylał się z pracowni — że nie miał pod ręką przygotowanej roboty i marnował dzień cały — zasiadłszy do roboty dopiero we wtorek, rozpowiadał, jak to się bawił, przytaczając wszelkie przygody z niedzieli i „blaumontagu“. Zabierało to naturalnie dużo czasu, nietylko jemu, ale i drugim, bo każden miał co do wtrącenia, a jaka to była nauka dla terminatorów?

Nie wszędzie o jednej godzinie zaczynają pracować, są jeszcze i dziś takie warsztaty, w których się rozpoczyna robota o 5 z rana, a kończy o 10 w nocy, a gdy się zważy, że czeladnik i chłopiec nie chodzą na obiad, to przesiedzą niby to 17 godzin przy robocie, choć robota na tem nic nie skorzystała. Rano posela czeladnik chłopca po śniadanie — a ileż to rodzajów tego śniadania? Chłopiec początkowy często zapomina, co mu kazano przynieść — idzie po raz drugi i czwarty, a tak schodzi do południa.

Czeladź szewcka nie chodzi zwykle na obiad, więc posela chłopca, który znowu biega kilkakrotnie zanim dogodzi, lub wszystko poznosi. Nie chcę mówić z czego się zwykle taki obiad składa, bo najczęściej zbytecznem jest sprzęt potrzebny zwykle do obiadu.

Nadchodzi niebawem i wieczór. Czeladnik i chłopiec wybiegają na „szarówkę“, trwającą często godzinę i dłużej, a kiedy inne rzemiosła przestają pracować, czeladnik szewcki zasiada do roboty w tem przekonaniu, że tylko długiem wieczornem siedzeniem, może zarobić na swoje utrzymanie.

Nadchodzi godzina przeznaczona dla chłopców na szkolną naukę i wielu to z niej korzysta? Powróciwszy ze szkoły, chłopiec zastaje czeladź przy robocie, więc zasiada również do niej i pracuje do późna — nawet całą noc z soboty na niedzielę — nieraz już i z piątku na sobotę; bo czeladnik chce wyrównać stratę, jaką poniósł przez odprawienie „blaumontagu“ nieważając, że chłopiec doznaje przeszkody w rozwinięciu się fizycznem i traci zdrowie. Do tej tak zbytecznej nocnej roboty, przyczynia się sypianie czeladzi i chłopców po pracowniach.

Taki przebieg pracy niszczy chłopca, czeladnika i majstra, lecz aby go zmienić, do nas należy, szanowni koledzy, uregulowanie pracy w ten sposób, aby chłopiec korzystał ze szkoły, a czeladnik miał wolną godzinę do słuchania wykładów w stowarzyszeniach.

Należąc przez lat wiele do stowarzyszenia, które miało właśnie na celu rozwijanie wiedzy i umoralnienia, czeladź szewcka była w niem rzadkiem zjawiskiem — prawdziwym białym krukiem, ba, i majstrowie stronili od niego — jako konserwatyści. Na nic się niezdadzą wszelkie uwagi po pismach umieszczane, jeżeli się słowo nie zamieni w czyn. Jeżeli chcemy, ażeby nasz robotnik nie był przedmiotem wytykania odszczególniających go błędów, to pogódźmy nasze zapatrywania i połączmy się do uporządkowania godzin pracy, a z pewnością majster i czeladnik odniosą materjalne i moralne korzyści.

Czeladnik mając ograniczony czas pracy w pracowni, wstrzyma się od „blaumontagu“ i pilniej będzie pracował w dzień nie mogąc się spuścić na nocną robotę, aby nie doznać uszczerbku w zarobku, a z czasem przyzwyczai się do regularnego i porządniejszego życia. Majster znowu mając pilnych robotników, nie będzie narażony na nieprzyjemności, jakie nieraz doznaje z przyczyny niewykonania roboty na czas umówiony — nie z jego winy.“

Z Krakowa.

Kasyno literacko-artystyczne z krainy mytu, zaczyna przechodzić w fazę rzeczywistości. Na niedzielnem zebraniu w sali muzeum przemysłowego, wybrano członków zarządu. Prezesem został p. Juljusz Kossak, wiceprezesem p. Asnyk. Zapał do głosowania był tak wielkim, że na 58 głosujących, p. Juljusz Mien, otrzymał 60 głosów na członka komitetu.

Rozchodzi się jeszcze o lokal, lecz podobno rada miejska ma ustąpić bezpłatnie kilka pokoi w Sukiennicach.

Kraków odznacza się małem zamiłowaniem życia towarzyskiego i utworzenie kasyna literacko-artystycznego, witamy z wielką radością. Być może, że pracownicy pędzla i pióra, rozbudzą uśpionych i przykład wpłynie na ożywienie tutejszych sfer towarzyskich.

W salach wystawy towarzystwa sztuk pięknych, nowy obraz Siemiradzkiego, „Rozbitek“, ściąga liczne tłumy widzów. Twórca „Pochodni Nerona“, nową swoją pracą, przydał jeden więcej laur do swojego wieńca, bo też całość przedstawia się, jako skończone arcydzieło pod względem techniki i kolorytu.

Młody i utalentowany malarz p. Żmurko, powrócił ze swej wycieczki do Włoch. Lazurowe niebo i dzieła mistrzów, podziałały na wyobraźnię artysty i dwie prace, zawieszone na sztalugach, świadczą chlubnie, że podróż jego nie była bezowocną. Do obydwóch utworów, zaczerpnął temat z życia starodawnych rzymian. Pierwszy z nich zatytułowany: „Sfinks“, przedstawia nam rzymiankę o klasycznych rysach, u stóp której siedzi młody chłopiec, wpatrujący się ciekawie w jej oczy i starający się przeniknąć myśli. Owa kobieta jest sfinksem dla młodzieńca. W drugim, autor przedstawia nam bachanalię Nerona. Obydwa obrazy są dopiero podmalowane, lecz można już osądzić, że będą to dzieła niezwykłej wartości.

W teatrze mamy ciągle nowości. W ostatnim tygodniu odegrano dwie nowe oryginalne

jednoaktowe komedje. Pierwsza: „Złoty cielec", pióra ś. p. Stanisława Dobrzańskiego, wprowadza nas w świat giełdowy wiedeński. Z wielkim humorem i życiem, autor naszkicował postacie Rosenblatta i dwóch Goldensternów, a wyborna gra pp. Fiszera i Szymańskiego, pobudzała publiczność do nieustającego śmiechu. Młody artysta p. Mielnicki, w małej rolce Ludwika, urzędnika bankowego, wywiązał się bardzo dobrze; jest w nim talent i przy tutejszej dobrej reżyserji, wyjść może na jednego z lepszych artystów.

Druga komedja „W jesieni", jest pracą młodego autora p. Swiderskiego, z którego nazwiskiem spotykamy się po raz pierwszy na afiszu.

Można powinszować autorowi, chociaż w niektórych miejscach razi długością monologów, całość przedstawia się jako udatny utwór.

Grze artystów nic zarzucić nie można i wszyscy zasługują na pochwałę. Panie: Stachowicz i Sławska, pp. Rychter, Szymański i Jaśkiewicz, zbierali hojne oklaski.

Komedja francuzka „Za piękna żona", odznacza się wesołością i arcyzręczną scenerją. Panowie: Wojdalowicz i Fiszer, pracowali szczerze, aby publiczność dobrze się bawiła i zamiar ich powiódł się całkowicie.

Dnia 16 listopada odbędzie się benefis Ładnowskiego, weterana polskiej sceny. Przyjmą w nim udział p. Rakiewicz, wraz z córką i p. Bolesław Ładnowski.

Dotąd wszystkie miejsca są już wysprzedane i publiczność krakowska licznem zgromadzeniem się, odda hołd ciężkiej i zasłużonej pracy.

Malarze nasi pracują nad obrazami do albumu dla arcyksięcia Rudolfa. Panowie: Matejko, Kossak Juljusz, Kossak Wojciech, Ajdukiewicz, Lipiński, biorą znaczny udział w tem pamiątkowem dziele.

Życzyć by wypadało, aby album, przed odejściem do Wiednia, wystawione było na widok publiczny choć kilka dni, aby szersza publiczność mogła się przypatrzyć i przypomnieć owe pamiątkowe chwile.

Coraz więcej zgłasza się przedsiębiorców do konkurowania o tramwaje krakowskie. Nawet brzegi Sprei, przysłały nam jednego teutona, który się ofiaruje wybudować linję, na najdogodniejszych warunkach dla miasta. Ojcowie rady milczą ciągle, jak Pitya delficka, a mieszkańcy dopytują się ciekawie, kiedyż nareszcie owa kwestja rozwiązaną zostanie. Zdaje się, że nieobecność prezydenta p. Zyblikiewicza powstrzymuje ostateczny wyrok w tej sprawie. Z drugiej strony, niepodobieństwem jest rozpocząć roboty podczas zimy i wszystkie nasze życzenia, muszą być odłożone *ad feliciora tempora.*

Jak zwykle jesień, sprowadza zawsze do nas liczny zastęp koncertantów, swoich i nie swoich.

Przed kilku dniami popisywał się w sali redutowej nieopalonej, pan Friedberg z grą na skrzypcach. Trudno mu odmówić wielkiej techniki i zapału i jest nadzieja, że koncertant zajmie jedno z pierwszych miejsc w świecie muzykalnym.

Ma przyjechać król skrzypków Joachim i panna Majewska. fortepianistka, uczennica Liszta.

Strawy artystycznej nam nie brakuje i gdybyśmy mogli to samo powiedzieć o chlebie powszednim, bylibyśmy bardzo szczęśliwi. Niestety! pod tym ostatnim względem, Kraków jest miastem bardzo nieszczęśliwem. Bieda i nędza panuje ogólnie, a bliskość zimy przestrasza filantropijne serca o los ich protegowanych. Każdym rokiem urządzane są wenty, tombole, teatra amatorskie, na korzyść biednych. Dotąd, nic nie słyszeliśmy o tychże, a czas już wielki, bo chociaż słońce ładnie świeci i nawet dogrzewa, nie trzeba mu w listopadzie bardzo dowierzać i lada chwila możemy się spodziewać mrozu i zawiei.

Jgnacy Jastrzębiec.

Druga korespondencja krakowska II. Każdego, ma się rozumieć, wykształconego, kto miał sposobność na scenie krakowskiej widzieć produkującą się całość teatralnego personelu, uderzyć musi wyróżniający się talent pani Żelazowskiej (Mirowicz). Artystka ta zwraca, przedewszystkiem, na siebie uwagę, niezwykłą skalą głosu i pewną dramatyczną ekspresją. Pod względem traktowania roli i używania organu, ma ona wiele podobieństwa do znakomitej w swoim rodzaju warszawskiej artystki, pani Rakiewiczowej z tą jednak różnicą, że ta ostatnia schodząc już ze sceny, w skutek nie zawsze umiejętnego zużytkowywania jej talentu przez reżyserję i z powodu nieubłaganych praw natury pod względem cielesnej konstrukcji, nie doszła do tego, czego się po niej spodziewano — tymczasem pani Ż. ma przed sobą obszerne pole i w tych warunkach, w jakich się obecnie znajduje, powinno dojść do bardzo wybitnego stanowiska na scenie. Niektórzy zarzucają pani Ż. pewien niedostatek wdzięku kobiecego na scenie — zdaniem naszem zarzut ten, nie jest właściwie zarzutem, bo jeśli aktorka w naturze swego talentu, nie posiada tej miękkości kobiecej, to kuszenie się o nią, starłoby oryginalną barwę artystycznej indywidualności i pani Ż., bardzo być może, w pewnych razach potrafiłaby przyswoić sobie sztuczne gruchanie trwożliwej gołębicy, ale częste pod tym względem eksperymenta, poprowadziłyby ją po drodze tałszywego kierunku i stawiając co chwila w sprzeczności z tem, co jej dała natura, zamordowałyby w niej artystkę dramatyczną par excellence a wytworzyłaby aktorkę jedynie użyteczną... Te surowe, że się tak wyrazimy, rysy w grze pani Ż. stanowią właśnie odrębną właściwośc jej talentu, właściwość, która artystce i reżyserji wskazuje drogę, po której iść się powinno.

Pani Ż., w kterej głosie perlą się łzy, a wibracja i sposób deklamowania, posiadają wszystkie właściwości szlachetnej dykcji i przenikającej traiczności — nie o wdzięk kobiecy starać się powinna, lecz o umiejętne panowanie nad swoim, istotnie bogatym i imponującym organem mowy, o ujęcie tego organu w świadome formy artystyczne, o pewną powściągliwość w używaniu patosu, a nareszcie o przyswojenie sobie akcji, któraby była zawsze równoległą z charakterem, jaki artystka odtwarza. Sztywność, która w grze pani Ż. zastępuje czasem powagę, musi zniknąć — inaczej przejdzie w manierę tem niebezpieczniejszą, że w tego rodzaju talentach, jakim rozporządza pani Ż., wszelka *maniera*, jest niezaprzeczenie trudna do wykorzenienia. Pomimo jednak powyższej wady, pani Ż. mniej grozi niebezpieczeństwo *maniery*, aniżeli innym tej samej kategorji artystkom, dlatego właśnie, że pani Ż., posiada niezwykłe zasoby ognia i porywającego zapału; ten ostatni, posuwa się, nie rzadko, aż do bezbrzeżności i zalewa czasami pewne misterne szczegóły w sztuce, które wszystkie wychodzić powinny, aby całość i psychiczna konsekwencja postaci, nie traciła na zniknięciu tych szczegółów. Bądź co bądź, w pani Ż. widzimy zapowiedź niepospolitej artystki dramatycznej; studja, natchnienie aktorskie i ten święty zapał rozpierający piersi młodej artystki, potrafią opanować tajemnice sztuki i postawią dzisiejszą krakowską artystkę w rzędzie najlepszych dramatycznych artystek polskich. ??.

Z Piwnicznej.

Teraz przystępujemy do szkoły. Ze szkołą rzecz idzie oporem i bardzo naturalnie, bo gdzie jak tu zuchwalstwo i samowola jest główną cechą obywatela, tam oczywiście wszelki rygor — nawet i szkolny—wykluczony być musi, toż nauczyciel p. Paweł Steranka (ma wyższe gymnazjum: seminarjum) jest tu solą w oku i acz mąż fachu, niedojdzie tu końca.

Szkoła w Piwnicznej, jest szkołą etatową jednoklasową. Dzieci w wieku szkolnym będących (Piwniczna, Kokoszka, Młodow) bywa do 500, (wykaz 487) w samej zaś Piwnicznej nad 400 (bo Kokoszka i Młodow są wsie bardzo małe). Z tych 487 Rada szkolna miejscowa obowiązuje do szkoły zwykle 80 do 90 dzieci, (wykaz R. Sz. Ok. 79) z jak najmniejszej odległości, lecz i to się dzieje tylko proforma, bo i z tych chodzi do szkoły ledwie 65 dzieci katolickich i 5 żydowskich rozumie się w zimie, w lecie ta liczba redukuje się do połowy, a reszta pasie bydło, gęsi i nierogaciznę — tak w Piwnicznej. Bliska Muszyna mająca o $^{1}/_{2}$ mniej ludności, a dzieci obowiązanych 200 posela do szkoły 131. Ależ obaczmy skład R. Sz. miejscowej, a odsłoni nam się jasno przyczyna tej różnicy w sukcesach. W Muszynie do R. Sz. miejscowej wchodzą pp. Józef Medwecki, współwłaściciel Żegestowa, Antoni Goralczyk, c. k. prefekt kameralny, członek Tow. fizjograf. ks. Józef Dankowski, proboszcz miejscowy, Józef Górski, pono kasjer. Toż inne pojęcie przygarnia wszelkiemi siłami dzieci do szkoły. W Piwnicznej zaś, jedyna inteligencja — ks. proboszcz miejscowy wykluczony — a wchodzą w skład R. Sz. miejscowej pp. K. Marciszewski, naczelnik gminy, J. Widomski, J. Pańczykowski, małomieszczanie — Michał Wolak z Młodowa i Piotr Kulig z Kokoszki. włościanie, wedle których pojęcia, szkoła jest jedną z plag egipskich. Nie dziw więc, że różne pojęcia, różne rodzą rezultaty. Zmuszanie od władzy dalszych, przysparza tylko nauczycielowi kłopotów i bluźnierstw w oczy. Ależbo i te quasi zmuszanie przez władze jest tu także bezsilne. Chociaż, bowiem nauczyciel wykazuje rok rocznie dzieci obowiązane, a niezapisane do szkoły, i nadejdą nakazy R. Sz. okręg., to R. S. miejscowa składa je sobie ad acta pro perpetua rei memoria, bo niema wyobrażenia o szkolnictwie, do tego buta i zarozumiałość nieznosi nakazów wyższych — a jeszcze i konserwatyzm w uje-

mnych kierunkach — niedozwala im, ani na krok naprzód w rzeczach dodatnich „Nam tak dobrze“—to ogólny frazes, którym pozbywają wszelkie względem nich poczciwe usiłowania. Toż sprzeciwiają się wszelkiemu temu, choćby najlepszemu, coby ich strącało z dotychczasowego stanu nieczynności i glupoty. W skutek tego też i ustawa szkolna wywiera bardzo mały, lub nawet żaden wpływ na tutejsze stosunki szkolne — tak, że ledwie kilkanaście dzieci da się zapisać w przepisanym czasie do szkoły; reszta zaś przychodzi wtedy, kiedy rodzicom najdogodniej: w listopadzie, grudniu — kiedy śnieg upadł, a dzieci nie pasą. (Tego roku spadł śnieg 25 października i już pozostał). Otóż zgromadzi się przecież przepisana liczba dzieci bo do 80, lecz — jak się rzekło — tylko w zimowych miesiącach, bo z wiosną znowu się rozejdą — jedne do poganiania koni, drugie z bydłem na paszę — a zostaje z 25, lub 27 do końca kursu.

Naczynione im wyrzuty ludzi roztropniejszych, odpowiada jeden: „Jakze bede posylać Jurka do skoły, kiej mi potsebny do pasenia, bo starsy Franek już się wstydzi za krowami chodzić, a i doma już się psyda“; Druga znowu: „Ja bym tyz posłała swego Jaśka, bo się bardzo napiera, ale któzby mi doma kolysal“.

Te i tym podobne dytaramby, które wszakże złego nieusprawiedliwiają. Nie trzeba jednak myśleć, że liczbę dzieci do szkoły w zimie uczęszczających tworzą tylko dzieci obowiązane do uczęszczania — gdzie tam — znaczna część przychodzi właśnie (z braku, lub innych przyczyn tymczasowo) uwolniona od uczęszczania — li tylko z widzimisię rodziców, bo tu wszystko zależy od chwilowego ich usposobienia i dobrej ich woli, a nie z musu, lub obowiązku — bo zwykle wprost przeciwnie działają — natenczas mówią z wielkim „rankorem“: „Nauczyciel grozi, że będą ci karę płacić, co całkiem nieposyłają albo nierychło posyłają dzieci do szkoły, że on nie moze kazde dziecko z osobna ucyć i ma z takiemi dziećmi wielki kłopot, co to nierychło psyjdą. A juzcić, karę płacić, cy to ja nie ojciec dziecku, cy ja to nie wiem lepiej, niz on, co memu dziecku potseba, cy on memu dziecku sprawi obucie i ubranie, zebym go miał zaraz, jesce moze w lecie do skoly posylać, albo my to nie placiema naucyciela zeby ucył nase dzieci, kiedy mu je psyślemo? a zrestą jaki tam ma kłopot z takiemi mądremi dziećmi jak są teraz. Gdy ja chodził do skoły, a chodzili wtencas spore parobcaki, to niejednemu kazał naucyciel na grochu klęcyć, zeby się ucył, a i to nic wcale nie pomagało, a teraz takie małe dzieci, to się same do ksiązki biorą. Wojtek mi mówil, ze jego Kazek jak tylko psyjdzie ze skoly, a ma pono lat seść dopiero — to zaraz książkę bieze i już umie pono ctery kartki dalej, niz naucyciel ucy. Ale on nie kaze mu cytać tam gdzie on już umie, ale tam gdzie drugie dzieci cytają“.

Te i tym podobne uwagi krytyczne trafiają nauczyciela za jego szczerą pracę. Najbardziej zaś spostrzegłem to na jednej sesji R. Sz. miejscowej — tam w oczy słyszałem nauczycielowi rzuconą pogróżkę i ostrą krytykę metody nauczania. W takich rozumowaniach najbardziej celuje Michał Wolak, ganił on nauczyciela i ganił sposób uczenia słowy: „zeby to naucyciel cytal tylko i cytał z dziećmi, toby się zaraz naucyły, ale ón kaze im pisać jakieś kreski, ta stoły i stolki, potem litery na tablicy, a mało kiedy kaze im cytać z ksiązki i niekaze tam gdzie umieją — ale tam gdzie nie umieją i dopiero ucyć się musą, a to psecież trudno“. Były tam i inne słowa, w których Wolak nie przebierał — ale nauczyciel uśmiechał się tylko z politowaniem w anielskiej cierpliwości, odrzekłszy tylko: „Ha, jak mogę, tak uczę“. Innym razem znowu Jakób Buczek, owa najmędrsza głowa w radzie i miasteczku, co to zaledwie licho podpisać się potrafi — ten znowu zarzucał: „co to naucyciel ucy jakiś grafi o krajach i zwizętach, niech ucy o roli i wołach nasego miasta — moje wnuki mogą być mądre bez wielkiej jego nauki.“ Pan Jakób Buczek ma tak silną wiarę w moc ducha przynajświętszego, że ten bez wszelkich osobistych zasług i pracy natchnienie już „obłeka swem duchem mądrości Bożej“ czego przyklad widzimy na całej Radzie miasta, gdzie na 18, tylko 6 członków licho podpisać się potrafią.

Ale za to sprawy idą na ryzyko-banko, jak to pisal Krasicki o pałce i lekarzu. Lecz o tem przy „Jurysdykcji„. Otóż, wedle argumentu tego najmędrszego w mieście człowieka, posełanie dzieci do szkoły „jest niepotsebne, skoda casu, niech chłopak chleb odsłuzy ojcu pzy bydle, bo ucony, ma swoje fanaberje, a nam i bez nauki dobze“. Z tegoż to powodu są z nauczycielem wieczne niechęci, któremu dla dokuczenia, opału nie dowożą, za co ich znowu wyższa władza egzekucjami biczuje — i znowu wyrzekania i pogróżki. Oj, fatalne to położenie człowieka inteligentnego, gdy z hardymi chłopami ma do czynienia — tu mi się przypomina bajka o niedźwiedziu i miodzie — idą oporem ku własnemu dobru. — A gdyśmy przy opale szkoły, nieodrzeczy też będzie wspomnieć o jednej z tysiąca — i tak: w dotacyj dla szkoły należy się 6 sągów miękkiego, a 6 sągów bukowego drzewa — ale dowóz tak nieregularny — że nauczyciel, aby dzieci nie poziębły, płoty łamać musi — a gdy wreszcie i przywiozą jaki sąg, to wprost z pnia ścięte, które musi nauczyciel za piecem suszyć i to u siebie, bo wśród dzieci niepodobna — a zwożą potrosze, małemi furkami. często przez cały rok, że się nawet trudno obliczyć, ile tego zwieźli. Gruntu do szkoły jest $2^1/_2$ morga — wąski to pas, górzysty i niedostępny, pod owies i kartofle, za który strącają nauczycielowi z płacy aż 26 złr. Uprawa jest trudna, robotnik drogi i raczej pójdzie do żyda, niż do nauczyciela.

Pewny najmowany do orania odrzekł, że się najął już żydowi — a nauwagę, że i profesorskie pieniądze są również dobre, odrzekł: „prose pana, clowiekowi zechce się bądź kiej wódki, a pójdę do zyda, to mi zborguje — a gdybym do zyda nie posedł, jak ów zząda, to mi drugi raz wódki by niezborgował“. Takto się dzieje w Piwnicznej, lecz czy tylko w Piwnicznej? to bardzo wątpię, chociaż może nie w tak wysokim stopniu — powie może kto, że źle czynię odsłaniając ujemną stronę miejscowości, lub, że jest to może przesadzony obrazek, który tu nakreśliłem.

Co do pierwszego, odpowiadam że właśnie do tego czuję się obowiązanym, gdyż nietylko szkoła, lecz wszelkie władze i wykształceńsza część społeczeństwa powinna moralnie wpływać na ten lud. A jak niemożna chorego leczyć nie znając jego choroby — tak nie można skutecznie wpływać na lud, nie znając jego wad.

Co do drugiego — niechaj odpowiedzą ci, którzy się bezpośrednio z ludem prostym stykali, lub stykają. Nie lud, lecz ci którzy kierują wychowaniem jego, są odpowiedzialni przed Bogiem za jego stan moralny.

W pierwszym rzędzie są powołani do pracy nad ludem: kościół i szkoła — kościół ma tysiączne sposoby w rękach, działając na sumienia ludu z ambony i spowiednicy — świecąc wzorem i przykładem. A co do szkoły — ta nie może w obecnych warunkach skutecznie pracować.

Jakżeż, bowiem, przedstawiciel tejże będzie miał należytą powagę u ludu, jeśli takie Rady Szk. miejscowe będą ciągle utrudniały jego zadanie stając w poprzek ustawom szkolnym. Jakżeż szkoła spełni swojo zadanie, jeśli dzieci w ten sposób będą uczęszczaly do szkoły; a jakżez znowu myśleć o oświacie ludu, jeśli szkoła swego zadania nie spełni? — Potrzeba więc koniecznie szukać drogi, którąby można wyjść z tego zaczarowanego koła. A tą drogą według mnie jest:

1) Konieczny przymus szkolny, lecz najściślej wykonywany.

2) Zniesienie takich Rad Szk. miejscowych (bo ich wybór niewszędzie szczęśliwy), aby usunąć raz tę zaporę w wykonywaniu ustaw szkolnych, ową kulę ołowianą, uczepioną u nóg nauczyciela. Reszta na później.

Wincenty Dąbrowski.

Plotki i nieplotki.

* Przed czterdziestu laty miano grać w teatrze lwowskim sztukę, której bohater między innemi mówi:

— Proszę mi przynieść boeufsztyk.

Cenzura do powyższych słów taką zrobiła uwagę: „jeżeli sztuka ta graną będzie w piątek, lub inny dzień postny — miejsce to należy zastąpić słowami: *proszę mi przynieść smażonego szczupaka.* — Autentyczne!

* Matka uspokaja płaczące dziecko:

— Co ci to moje dziecko?

— Ah mamo! upadłem wczoraj na schodach i głowę sobie stłukłem.

— No to po cóż dziś płaczesz?

— Bo wczoraj mamy nie było w domu.

* O jednym z urzędników lwowskiego magistratu powiadają, że jest tak wysokiego wzrostu, iż gdy sobie nogi zamoczy, to dopiero w tydzień skutki wilgoci dostają się do nosa i nawiedza go katar, a gdy śpi, to z powodu olbrzymiego wzrostu, nie można go obudzić od razu, lecz trzeba przebudzać po kawałku...

* Na starym kościańskim cmentarzu w Poznańskiem, stał pomnik z napisem:

Ledwie pierwszą sukienkę dostała,
Zaraz z rąk rodzicom uleciała.
Śmierć mi sprowadziła nieuważna mama,
Za co jej zostanie zamkniętą do nieba brama!“

Mała Felisia.

Na innym znów pomniku wyryty był potężny róg stadnika, a pod nim napis:

„Przez tego byka róg,
Powołał go do siebie Bóg,
My teraz za nim lejemy łzy,
Przez ciebie, ty byku, ty!“

Na bonikowskim cmentarzu (w Poznańskiem) stoi prosty krzyż z napisem:

„Tu spoczywa N. Beba, który lat 60 miał,
Czemu? bo zamknął oba oczy i otworzyć nie (chciał.“

Lew Dwunożny

NOWELA.

(*Przekład z francuskiego.*)

Padał deszcz.

Towarzystwo spłoszone przez niepogodę, opuściło park, tworzący w zamku Cerisaie mroczną i posępną gęstwinę i zebrało się w salonie, aby prowadzić w dalszym ciągu zajmującą i wesołą pogadankę.

Towarzystwo to składało się z kilkunastu osób płci obojga, przybyłych z Caen do Cerisaie, celem przepędzenia letniego „sezonu“ u pana de Salbris.

Mężczyźni byli brzydcy i pospolici, kobiety zalotne i złośliwe, słowem, zebranie mogło w każdym kraju i o każdem czasie reprezentować kwiat prawdziwej „burżuazji.“

Jedna tylko osoba, dzięki skromnemu, a pełnemu wdzięku ułożeniu, oraz arystokratycznej, subtelnej piękności, odróżniała się z korzyścią od tego tła powszedniego; była nią pani de Salbris, piękna właścicielka zamku.

Każdy uczuwał mimowoli wpływ czarnego i zasnutego chmurami nieba, rozmowa stawała się coraz wolniejszą i bezbarwniejszą i groziła zupełnem ucichnięciem — gdy nagle zbudził ją i ożywił Teotym Delaunay, komunikując towarzystwu zajmującą i dziwnie oryginalną wiadomość...

Teotym Delaunay był młodym, normandzkim „lewkiem“, którego skromny dochód wynoszący około 5000 franków rocznie, zmusił do zaprzepaszczenia się w cichem Caen.

Wykolejony ten dandys, nie mogąc przyjmować osobistego udziału w rozrywkach i szaleństwach stolicy, poczytywał sobie za punkt honoru, śledzić przynajmniej zdala za życiem modnego Paryża i być świadomym wszelkich wybryków bulwarowego dandyzmu.

Opowiedziawszy więc towarzystwu fakt, z tej właśnie sfery poczerpnięty, dodał z uczuciem wewnętrznej dumy i zadowolenia:

— Wiadomość tę dostałem od mego dobrego przyjaciela, który jest sławnym malarzem i członkiem Jockey-klubu.

Przy tych słowach dobył z kieszeni list i począł czytać głośno:

„Pytasz mnie o nowiny? Posłuchaj zatem.

De Marcas, o którym ci często pisałem, ów sławny Fryderyk de Marcas, zwany księciem dandysów, niezrównany typ eleganta, na wskróś poetycznego i nienawistnego mieszczaństwu, uczynił w tych dniach zakład najszaleńszy w świecie, a zarazem dowodzący niepospolitej śmiałości, o którym roczniki Jockeyklubu kiedyś z chwałą wspominać będą...

— Panowie! — rzekł do nas w Café de Paris — widziałem na wystawie malarskiej portret prześlicznej młodej kobiety. Twarz jej wyraża przeczystą radość i szczęście niczem nie zakłócone. Musi być wdową, tak przynajmniej domyślam się, gdyż dotąd potrafiłem jedynie dowiedzieć się: jak się nazywa i gdzie mieszka. Jestem pewny, że kobieta owa nie zna mnie, ani z imienia, ani z portretu — otóż, panowie, stawiam pięćset luidorów o zakład, że zanim upłynie miesiąc, ta nieznajoma będzie — moją!“

Było nas przy tem około dwudziestu i wszyscy przyjęliśmy stawkę.

— Wyjeżdżam jutro do zamku tej kobiety — dodał Fryderyk. — Pojutrze dostanę się tam, znalazłszy zamówkę, albo w burzy, albo w złamanej osi u powozu. Za tydzień będę jedynem przedmiotem jej myśli i westchnień, a za dwa tygodnie — wygram zakład.

— A w jaki sposób przekonamy się o tem? — wtrąciłem.

— W sposób bardzo prosty — odrzekł Fryderyk — zaproszę was wszystkich na wesele, gdyż na honor, radbym już położyć koniec temu awanturniczemu życiu.

Przy tych słowach pożegnał nas, wymieniając nazwisko owej nieznajomej, którą niewątpliwie nie zapomni poślubić...

Ostatnia okoliczność, którą gruntuję na dokładnej znajomości Fryderyka, nie pozwala mi w tym liście imienia tej kobiety przytaczać. Dla powodów łatwo zrozumiałych i natchnionych uczuciami światowej grzeczności, wstrzymuję się z tem... aż do chwili Fryderykowego tryumfu.

Co do mnie zresztą, jakkolwiek zakład przyjąłem, przygotowany jestem z góry na to, iż go przegram, nie znam, bowiem, kobiety, którąby memu przyjacielowi oprzeć się zdołała.

Postąpiłem też względem niego wspaniałomyślnie, gdyż wyrobiłem mu list rekomendacyjny, który pomoże w zwalczeniu przedwstępnych trudności i wprowadzi go do wdowy nawet wówczas, gdyby figiel ze złamaną osią zrobił *fiasco*.

Co się tycze współzawodników, których Fryderyk w „kampanji“ tej spotkać może, zgóry ich żałuję, przyjaciel mój, bowiem, w robieniu szpadą i strzelaniu z pistoletu, nie ma równego w całym Paryżu, i — co za tem idzie — w całej Francji.

— I cóż? — rzekł Delaunay, skończywszy czytać i chowając list do kieszeni z miną tak tryumfującą, jak gdyby sam był bohaterem owej historji — cóż państwo powiecie na to?

— Wyznam otwarcie — rzekł pan de Salbris — że historyjka ta wydaje mi się niegodną uwagi. Dodam też, iż ten rodzaj niby groźnych uwodzicieli, mających w sobie coś z Lovelace'a, a coś z Croquemitaine'a, zawsze był w moich oczach śmiesznym nad wyraz wszelki.

— Opinia ta — dodała pani de Salbris z odrobiną lekkiej ironii — wcale nie jest dziwną w ustach człowieka, który posiada umysł tak poważny, poglądy tak pozytywne..,

— I którego największem grzechem jest to, iż pozwala sobie niekiedy żartować z ultra-romantycznych poglądów swej małżonki — odciął się z uśmiechem pan de Salbris.

— Nie o to chodzi — rzekła pani de Salbris, płacąc uśmiechem za uśmiech, jednocześnie zaś zwracając się do wysokiego i tęgiego mężczyzny, którego kwadratowa głowa i nadzwyczajna powolność ruchów, wskazywała pochodzenie niemieckie, dodała:

— A ty co o tem sądzisz pułkowniku?

— Podzielam opinię pana de Salbris — odpowiedział flegmatycznie pułkownik.

— To znaczy, że wspólnie z nim przeciw mnie występujesz. Nigdyż więc nie nauczysz się, pułkowniku, grzeczności?

— Mam zasadę wypowiadać otwarcie moje przekonania.

— Otwartość, doprowadzona do przesady, powoduje niekiedy smutne następstwa. Ty sam pułkowniku, o prawdzie tej przekonałeś się ze smutkiem.

— Ach! — westchnął pułkownik — nie mów mi pani o tem. Serce moje ściska się boleśnie na samą myśl o przebytych cierpieniach. Ach! ja jestem bardzo nieszczęśliwy!...

— Jednakże znosisz pan tylko to, na co własną winą zasłużyłeś. Opowiem pańskie zdarzenie towarzystwu, niech osądzi, czy nie mam racji...

— Ach! to bardzo smutna historja! — szepnął pułkownik, wstrząsając wielką blondwłosą głową, z wyrazem melancholicznej rezygnacji.

(C. d. n.)

TEATR.

Po kilku latach wystawiono znów 15. b. m. na *benefis* pani *Teofili Nowakowskiej*, pięcioaktową tragedję J. Słowackiego: „Balladynę“. Wieloletnia praca znakomitej artystki na naszej scenie, zjednała jej sympatję w kołach miłujących sztukę tak, jak całą duszą oddana jej jest p. Nowakowska. Jej też zawdzięczamy, że na naszej scenie wznowiono wystawienie *Balladyny*, w której pani Nowakowska, jest niezaprzeczenie niezrównaną. Piękna postać, umiejętne władanie wzrokiem, spojrzeniem i rysami, wystudjowane, a zawsze artystycznie skończone ruchy, głos, który obejmuje całą skalę uczuć, od pieściwości miłosnej i swobodnej szczerości, aż do olbrzymiej siły powagi królewskiej i pełnej grozy dramatyczności — oto materjał, którym artystka włada. Dodajmy, że bogatym tym zasobem kieruje wysokie wykształcenie, że iskrą ożywiającą, jest talent pierwszorzędny, a będziemy mieli miarę kreacji pani Nowakowskiej. Wszystko to, cośmy jej talentem, artyzmem i zasobem scenicznym nazwali, zlało się na odtworzenie Balladyny. Przedewszystkiem odznacza się gra, ową jednolitością i całością, cechującą charaktery Słowackiego. Od pierwszej chwili, w której Balladyna mówi: *Gdzieś ty mój grzebień podziała, Alino — Co ty*

tam słuchasz, jak się matce marzy, odgadujemy już całość charakteru; w dalszym przebiegu nasuwają się tylko poszczególne okoliczności rozwijające to, co w zarodzie istniało od początku. Jednolitość ta charakteru stworzyła w grze p. Nowakowskiej, postać Balladyny, jakby ze spiżu wykutą. Wybitniejsze sceny odznaczały się niezmiernie korzystnie, budząc prawdziwy zachwyt w widzach. Tak zaraz na początku prześliczną grą i deklamacją zaznaczyła artystka słowa: *Wczoraj się nie modliłam—to źle. Jest Bóg na niebie.* Również skończenie doskonałą była scena, w której Balladyna trapiona wyrzutami sumienia, błąka się w lesie, a zapytana przez Goplanę, czy chce, aby siostra żyła mówi: *Żyła? — zgubiłam nóż!* A jaka pyszna scena osłupienia, przed chatą pustelnika! Toż samo podczas uczty i w nocy, gdy idzie, aby zbrodnią nową utorować sobie drogę do korony. W ogóle jest Balladyna najlepszą kreacją naszej artystki. Prawdziwie znakomitą grą, podnosi dzieło Słowackiego. nie zatracając, ani jednej myśli, ani najdrobniejszego rysu charakteru.

Pani Aszpergerowa w roli matki, była doskonałą; dokładnem pojęciem myśli autora, odtworzyła postać z wielką prawdą życiową, wybuchem uczucia, żalu i płaczu, porywając wszystkich za serca. Dobrą Aliną była pani Woleńska. Serdeczność i prostota, cechująca tę artystkę, uczyniła jej rolę bardzo sympatyczną.

Pustelnika Popiela III. grał p. Podwyszyński, a gra jego nie pozostawiała nic do życzenia. Charakteryzacja, układ postaci, głos i deklamacja, składały się na postać skończenie piękną. Spokój właściwy artyście, otaczał jakąś aureolą świętość wygnanego króla — pustelnika. Panu Woleńskiemu przypadła rola Kirkora, niedająca najmniejszego pola do popisu. Siła głosu, męzkość postawy, złożyły się w grze p. W. na dzielnego, rycerskiej krwi bohatera sarmaty. Natomiast pan Zboiński w roli von Kostryna, miał sposobność okazania twórczości swego talentu. Pan Z. był w całym tego słowa znaczeniu doskonałym. Inteligencja tego artysty odszczególnia każdą z jego kreacyj owem prawdziwie artystycznem pięknem, spokojem i pewnością ruchów, skupieniem i zaokrągleniem roli, dla uwydatnienia właściwości charakteru.

Z szekspirowską fantazją rzuconą w rolę Grabca, grał pan Zamojski z humorem i wieśniaczą jowialnością, niedającą się zastraszyć nawet szatańskimi figlami. Epizodyczna rolka Filona, znalazła w panu Kwiecińskim zdolnego wykonawcę. Inne role męzkie drobne; zaledwie wspomnieć możemy o pp. Pieniążku, Walewskim i Sachorowskim.

Fantastyczne osoby: Goplana, Skierka i Chochlik, wypadły doskonale; w rolach tych panie: Ładnowska, Kwiecińska i Boguszewska umiały pięknem i wdziękiem ożywić nieraz aż do złudy, trudny do przedstawienia świat duchów..

Z przykrością zauważaliśmy niezmierne niedbalstwo w stroju i zachowaniu się chórów w tragedji. Rycerze i goście na uczcie w zamku Kirkora, odziani są w pancerze lakierowane, jak straż, twarze niecharakteryzowane, nieogolone, a nieraz i nie myte i obojętność na przebieg akcji, której mają być uczestnikami, stanowią rażący dysonans. Obwiniać o to należy chyba reżyserję, której większą staranność zalecamy.

Zorjan.

Koncerty. Dla miłośników muzyki, sezon tegoroczny, otwiera szerokie pole do przyjemnego spędzenia wieczorów — w krótkim, bowiem, czasie, mieliśmy już sześć koncertów, a oprócz tego p. L. Marek, p. K. Mikuli, zapowiadają nam szereg innych, jak również uśmiechają się koncerty panny Weis, hr. Matyldy Schmettów i jej córki Dezyderji.

Nie można się więc skarżyć na tegoroczny sezon koncertowy — bo ci, którzy chcą i mogą, mają wyborną sposobność do pieszczenia swego słuchu wyborową muzyką. Przeszłe koncerty zostawiły po sobie miłe wrażenie — jeżeli więc i te, które nastąpić mają z równem powodzeniem się odbędą, to nie nic do życzenia!

W niniejszem sprawozdaniu wspomnimy o trzech ostatnich.

Dnia 12 b. m. pod kierownictwem pana Mikulego, danym był koncert na dochód nauczycielek lwowskich. W obec nielicznie zebranej publiczności, występował po raz drugi pan Kochanowski, który po każdym odegranem utworze, gorącymi oklaskami był obsypywany. Występowała także panna Sk., zdolna pianistka, jak również pan Sk. wypowiedział „Farysa“ Mickiewicza.

Pierwszy wieczór muzyczny pod kierownictwem pana L. Marka, zapoznał nas z wielu nowościami. Panna Konopacka rozpoczęła go „Koncertem“ Czajkowskiego, z właściwą jej werwą i biegłością. Co do gry panny Konopackiej nie mamy nic do zarzucenia, ale co do utworu, to nas zupełnie nie zadowolnił — jest to chaos samych trudności, niemający żadnej przewodniej myśli, ani też nie dający uchwycić i zrozumieć. „Dumka“ Dworzaka i „Valse“ Moszkowskiego, odegrane z uczuciem przez pannę Konopacką trafiły do serca i wywołały serdeczne oklaski. Szczególniej ,,Valse“ Moszkowskiego odegrała panna Konopacka z wdziękiem; z pod jej wprawnej ręki, formalnie płynęły figlarne tryle i pasaże.

Panna Maresz odegrała „Melodje“ Moszkowskiego i „Rapsodję polską“ Marka. O ile zadowolniły nas „Melodje“ o tyle słabe wrażenie uczyniła „Rapsodja“. Tyczy się to głównie wykonania, które nie zalecało się wykończeniem.

Znakomicie odegrał pan Douillet: „Koncert c moll“ Saint-Seans'a, „Kołysankę“ Marka i ,,Polonez“ Czajkowskiego. Po odegraniu każdego utworu, rozlegały się głośne oklaski — bo też pan Douillet z widocznem zamiłowaniem jak prawdziwy artysta — obmyśla i opracowuje każdy utwór, z którym się popisuje.

Pani i panny szkoły śpiewu pani Praun, odśpiewały ,,Pieśń wieczorną“ Mozarta, i ,,Miłość ze słowikiem“ Engelsberga. Na ogólne żądanie publiczności powtórzone „Miłość“ której pokazuje się, nigdy nie jest za wiele, nawet na koncercie... „Miłość“ znalazła wybornych wykonawców — nic dziwnego, śpiewały ją kobiety...

Dnia 14 b. m. pod przewodnictwem pana K. Mikulego, odbył się koncert, który imponował poważnym swym nastrojem. Orkiestra smyczkowa z towarzyszeniem organów, wzorowo odegrała ,,Koncert“ Händla, jak również ,,Mennet“ Bacheriniego. Mennet ten powtórzono na ogólne żądanie.

Panna Różanowska pięknym swym głosem, odśpiewała ,,Zdrętwienie“ Szuberta i ,,Pieszczotkę“ Chopina.

Z równym powodzeniem wyszedł ,,Psalm“ Reinbergera, odśpiewany wzorowo przez chór damski.

Bolesławicz.

Potoczne wiadomości teatralne. — Z Krakowa od naszego korespondenta, otrzymujemy opis benefisu jubilata A. Ładnowskiego następujący:

Pięćdziesięcioletni okres pracy, trudów, zabiegów, niepowodzeń i oklasków, został wczoraj wynagrodzony przedstawieniem jubileuszowem w teatrze krakowskim, urządzonem na cześć sędziwego artysty, Aleksandra Ładnowskiego. Publiczność tłumnie pospieszyła, aby oddać hold człowiekowi nieskażonego charakteru i rzeczywistego talentu dramatycznego i literackiego. Kilkadziesiąt dramatów, monodramów i komedyj, parę tysięcy wierszy ulotnych i okolicznościowych, są owocem długoletniego zawodu, a wychowanie trojga dzieci, stanowiących dziś chlubę pierwszorzędnych scen polskich, dodaje jeszcze jeden więcej laur do tej korony, w której, pośród róż i jaśminów, nierzadko wyglądają ciernie i głogi.

Przed rozpoczęciem, muzyka odegrała poloneza Moniuszki. Potem przedstawiono komedję Alek. hr. Fredry „Dwie blizny“; odegrana była koncertowo i wszyscy artyści przyjmujący w niej udział, zasługują na największe uznanie.

Następnie panna Rakiewicz, wnuczka jubilata, zaśpiewała miłym głosem arję z Halki. Pan Rychter wypowiedział monodram „Stefan z Pokucia“. W typach starej szlachty polskiej, nikt mu nie wyrówna i długo będziemy czekali, zanim się pojawi talent, któryby mógł dorównać pierwowzorowi.

Pani Rakiewicz i p. Bol. Ładnowski odegrali kilka scen z Makbetha. Rozpisywać się o ich grze jest zbytecznem; krytyka i publiczność dawno już o nich sąd wydała.

Zakończono przedstawienie obrazkiem dramatycznym: „Łobzowianie.“ Artyści grali z taką werwą i humorem, jak dawno nie widzieliśmy. Panowie: Wojdałowicz, Jaśkiewicz i Galasiewicz, panie: Wojnowska, Stachowicz i młoda Rakiewicz — w ogóle wszyscy przesadzali się, aby lepiej upamiętnić obchód jubileuszowy.

Po skończeniu spektaklu, podniosła się kurtyna i na scenie ujrzeliśmy zgromadzonych artystów i artystki w balowych tualetach i kostjumach. Pan Rychter przemówił serdecznie do jubilata i w krótkich słowach winszował mu tej szczęśliwej chwili. Jubilat rozrzewniony, odpowiedział głosem drżącym od wzruszenia, że niezasłużył na tyle zaszczytów i gdyby nie pięćdziesiąt lat, ale dwieście pracował na scenie ojczystej, toby jeszcze było za wiele dla niego.

W imieniu kolegów teatru krakowskiego, wręczono mu pierścień pamiątkowy. Z Warszawy jubilat otrzymał złoty zegarek.

Pan Fiszer wręczył upominki artystów poznańskich i lwowskich, a pani Hoffman przy odgłosie muzyki, uwieńczyła laurem jubilata.

Z Warszawy, Lwowa, Poznania i innych miejsc, nadeszły telegramy z powinszowaniem, pomiędzy którymi, znajdował się telegram od Królikowskiego.

Publiczność z wielką sympatją przypatrywała się temu rzadkiemu wypadkowi w dziejach sztuki dramatycznej, bo bardzo mała liczba artystów mogła się doczekać tak późnego wieku i tak długiej pracy.

Życie każdego artysty bije tętnem przyśpieszonem, a niepowodzenia, sława i honory, skracają zwykle zawód. Pan Aleksander Ładnowski może służyć za przykład całym pokoleniom i obyśmy mogli więcej znaleść naśladowców. Dziś sztuka dramatyczna wstąpiła na inne tory i jej przedstawiciele żelazną wytrwałością, wywalczyli sobie równe stanowisko, w obec innych sztuk wyzwolonych.

Ignacy Jastrzębiec.

Kronika zagraniczna.

Krolowa Wiktorja zabezpieczyła swoje życie w paryzkiem towarzystwie asekuracyjnem: „Compague de Lyon" na bardzo wysoką kwotę. W parę dni potem ks. Cambrige poszedł za przykładem królowej i uczynił toż samo.

Z Włoch donoszą:

Z powodu burzy trwającej przez dziesięć godzin w Reggio, powódź zalała okolice Santa, Luccia i Sbarra. Woda zatopiła 366 domów, z których 50 runęło.

Dotychczas wydobyto 17 trupów. Wiele ofiar znajduje się jeszcze pod gruzami, a niektóre uniosła woda.

Ocalono od śmierci niemal nieuniknionej 37 osób.

Szkody są ogromne, nieobrachowane. Zginęło mnóstwo bydła. Nędza i rozpacz szerzą się w całej miejscowości.

Krytyka, Nowiny literackie i artystyczne

W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego, ukazał się cenny przyczynek do historji i literatury naszej p. t.: „Literatura poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia."

W Jarosławiu nakładem Bohusa, wyszedł *kalendarz myśliwski* na rok 1881. ułożony przez W. D. Oprócz zwykłego kalendarza i notatnika, zawiera on wszystkie potrzebne wiadomości dla myśliwych, oraz ustawę myśliwską. Znajdujemy także w tym kalendarzu artykuł: „O niektórych chorobach psów i tychże leczenia" a w końcu spis ptaków, których tępienie i przedawanie zabronione.

ROZMAITOŚCI.

Ostrożnie z grzybami! W Kaliszu — jak donosi miejscowy organ—w tych dniach cała jedna rodzina, z kilku osób złożona, otruła się grzybami, zjedzonemi na kolację. Tylko spieszna i energiczna pomoc lekarsra, zapobiegła groźnym następstwom tego lekceważenia tylu przestróg i smutnych, a jak się pokazuje, bezskutecznych jeszcze niekiedy doświadczeń.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Szan. „Kółko" akademików polskich w Wrocławiu. „Dziennik dla Wszystkich" dla „Kółka" regularnie ekspedjujemy.

P. G. R. w C. Wiersz pański nie jest, ani dobry, ani zły — coś w rodzaju ciepłej wody, choćby tedy już ze względów hygienicznych, umieścić go nie możemy..

P. Anieli w K. Filipika pani przeciwko starym kawalerom odziana w formę nadesłanego nam artykułu, drukowaną nie będzie. Nawiasem musimy wspomnieć, że jak się pani wyraża „zastraszające się mnożenie starych kawalerów" nie pochodzi jedynie z winy mężczyzn — drobne i białe rączki niewieście daleko więcej przyczyniają się do anormalności stosunków społecznych, jakby się pani zdawać mogło...

Autorom wierszy: „Luba nie gniewaj się", „Jeden pocałunek i już", „Ja myślałem, żeś ty anioł, a ty anielica" i „Na wulkanie" — utwory panów drukowane nie będą.

P. Go. we L. Zechciej się pan pofatygować do biura naszej redakcji w godzinach popołudniowych.

Przewodnik lwowski.

Banki i Towarzystwa finansowe.

C. k. uprzyw. galicyjski **Zakład kredytowy włościański**, ul. Jagielońska l. 14 w własnym gmachu. Wydaje 6% asygnaty kasowe za 30-dniowem wypowiedzeniem, tudzież sprzedaje 6% listy zastawne, które mają nadto udział w dywidendzie i mogą służyć na kaucye. Bióra centralne otwarte od godz. 9 z rana do 3 po południu.

Bank budowniczy, plac Marjacki, w gmachu Banku hipotecznego. Ma do sprzedania domy na różne ceny i na różnych miejscach, jak niemniej cegły najdoborowszego gatunku i kamień budowlany po cenach najumiarkowańszych.

Galicyjskie **Towarz. kredytowe ziemskie**, ul. Karola-Ludwika l. 1. Godziny otwarte w kasie od godz. 9—1. Dyrekcji od 8—12.

Galicyjski **Bank kredytowy**, ul. Jagielońska, l. 3, w domu własnym. Wydaje asygnaty kasowe 4% z 14-dniowem, 5% z 30-dniowem, 5½% z 90-dniowem wypowiedzeniem. Przyjmuje wkładki książeczkowe na 6%.

C. k. uprz. **Galic. akcyjny Bank hipoteczny**, plac Marjacki l. 15, we własnym gmachu. Wydaje asygnacje kasowe 5% z 90-dniowem, 4½ z 60-dniowem, 4% z 30-dniowem wypowiedzeniem, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe i monety; 6% listy hypoteczne służące do lokowania kapitałów funduszowych, pupilarnych i wszelkiego rodzaju akcyj, można najkorzystniej nabyć, lub sprzedać w tymże Banku.

Bank ojczysty dla ubezpieczeń na życie. Reprezentacja we Lwowie plac Marjacki, l. 10. Przyjmuje wnioski na ubezpieczenie ludzkie, we wszystkich kombinacjach — oraz i na ubezpieczenia małe tak zwane pogrzebowe, zacząwszy od 50 złr., które wypłacają się w 24 godzin po śmierci ubezpieczonego.

Zakład ogólno rolniczo-kredytowy dla Galicji i Bukowiny, ul. Ormiańska l. 2. Towarzystwo zarejestrowane nieograniczoną poręką, kupuje za mierną prowizję, niezapadłe jeszcze kupony papierów wartościowych państwowych, obligacyj indemnizacyjnych, przyjmuje wkładki na książeczki oszczędności z oprocentowaniem 6% na rachunek bieżący, 7% z trzechmiesięcznem wypowiedzeniem. Udziela pożyczki. i zaliczki, eskontuje weksle.

Sokal i Lilien, ul. Hetmańska l. 8. Dostarcza nowe arkusze kuponowe do akcyj kolei Rudolfa za mierną prowizją, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe, i monety pod najkorzystniejszemi warunkami. Zlecenia z prowincji uskuteczniają się bezzwłocznie.

Towarzystwa Ubezpieczeń.

Transylwanja, ogólny bank wzajemnych ubezpieczeń, założony w 1868 r., poleca przez swoją główną ajencję dla Galicji i Bukowiny we Lwowie (ul. Halicka l. 36), korzystne kombinacje ubezpieczeń kapitałów i rent na dożycie i przeżycie, dalej ubezpieczenie od szkód z ognia.

Przybory i sprzęty kościelne.

Magazyn sprzętów kościelnych od roku 1850 pod firmą *Tadeusz Uzięblo* we Lwowie Rynek l. 36, poleca w wielkim wyborze: ornaty, dalmatyki, kapy, alby, komże, chorągwie, fany, baldachiny, szale do monstrancyj, lichtarze, obrazy olejne na płótnie i blasze, oltarzyki procesjonalne i t. p. Zamówienia uskutecznia się z wszelką starannością i akuratnością i wysyła się odwrotną pocztą po umiarkowanej cenie.

Zakłady szewckie.

Karol Smutny, plac Bernardyński l. 1, poleca swój obficie zaopatrzony w trwałe a tanie obuwie dla dam, mężczyzn i dzieci. Zamówienia na prowincję uskutecznia sumiennie i szybko; zużyty bucik wystarcza na miarę.

Piotr Balkoski, ul. Wekslarska l. 5. Poleca obficie zaopatrzony magazyn obuwia męzkiego, damskiego i dziecinnego z najlepszego materjału krajowego i zagranicznego, wykonanie staranne podług ostatniej mody. Wszelkie zamówienia uskutecznia natychmiast po umiarkowanej cenie.

Michał Koneczny, ul. Szajnochy, l. 8. Poleca swój magazyn obuwia obficie zaopatrzony w męzkie. damskie i dziecinne obuwia z najlepszego materjału krajowego i zagranicznego i podług ostatniej mody wykonuje. Zamówienia uskutecznia szybko i po miernej cenie.

Józef Kozłowski, ulica Sobieskiego nr. 7. poleca wielki magazyn obówia męskiego z najlepszych materjałów krajowych i zagranicznych, Trzewiki oraz wielki wybór bucików ze skór cielęcych wyprawy francuskiej, sprzedając takowe po cenach umiarkowanych. Zamówienia z prowincji uskuteczniają się szybko i rzetelnie.

Zakłady krawieckie.

A. Ciszek i M. Srokowski przy ul. Ormiańskiej l. 29, polecają swoją nowo otworzoną pracownię sukien męzkich. Zamówienia z prowincji uskuteczniają się jak najrychlej i pod bardzo przystępnemi warunkami.

J. Link, krawiec męski we Lwowie Hotel Georga przy placu Marjackim. Poleca się łaskawym względom szanownej publiczności z tem zapewnieniem, że wszystkie zamówienia przy cenach zupełnie przystępnych podług najnowszej mody, jak najstaranniej z materji najlepszych wykonywać będzie.

Antoni Solecki, Lwów ul. Hetmańska l. 6. Poleca swój osficie zaopatrzony magazyn sukień męzkich gotowych z najlepszego materjału krajowego i zagranicznego i podług ostatniej mody wykonane. Zamówienia wszelkie uskutecznia podług mody i podług życzeń szybko, sumiennie i po miernej cenie.

Zakłady galanteryjne.

J. Ahl, ulica Trybunalska, poleca własny wyrób najnowszych krawatek męskich i damskich, bieliznę, kolnierzyki, mankiety, szelki, skarpetki i pończochy saskie niciane i fil d'Ecosse. meszty, kalosze, rękawiczki pragskie. Wielki wybór kufrów i przybory do podróży. Krawatki męskie u mnie kupione, przyjmuję do naprawy.

Zakłady tapicerskie.

A. Früauff i T. Walsleben tapicerowie i dekoratorzy, przy ulicy Sykstuskiej pod l. 4, we Lwowie, przyjmują wszelkie zamówienia robót tapicerskich jako też robienia stór drelichowych.

Handle korzenne.

Jan Ważny, ul. Czarneckiego l. 4. Handel kolonjalny, różne delikatesy, wytrawne wina krajowe i zagraniczne, piwa i wszystko co w zakres handlu korzennego wchodzi. Pokój do śniadań. Ceny umiarkowane.

Zakłady introligatorskie.

Ludwik Wierzbicki, ul. Halicka l. 52. Zakład galanteryjno-introligatorski i fabryka wgłębianych kartonów (Passepartouts), poleca swoje wyroby jako to: dyplomy, albumy, adresa, od pojedynczych do najwspanialszych, także oprawy książek od szkolnych do najozdobniejszych i wszelkie galanteryjne roboty, także poleca kartony ozdobne, tak na pojedyncze fotografje i obrazy jako i na grupy w różnych gatunkach i rozmiarach.

Magazyny optyczne.

Maurycy Boscowitz, optyk, plac Marjacki l. 7. Skład towarów optycznych i narzędzi mierniczych. Urządzanie dzwonków telegraficznych, konduktorów piorunowych i reperację wykonywa po najtańszych cenach.

Wyroby rzeźbiarskie z kamienia drzewa i gipsu.

Tadeusz Sokulski, ul. Mickiewicza l. 6, Medal zasługi z wystawy krajowej we Lwowie 1877. Rzeźby i ornamenta z drzewa, konzole, ramy, i rozmaite rzeźbione sprzęty salonowe i kościelne, ołtarze, cymborja, peretrony wraz ze złoceniem, różne modele do odlewów wykonuje z największą akuratnością.

Składy futer.

P. Czapczyński. Magazyn futer (medal zasługi) we Lwowie ulica Halicka l. 1, poleca wszelkie gatunki futer w guście najmodniejszym.

Architekci.

Leopold Warchałowski budowniczy i zaprzysiężony rzeczoznawca upoważniony przez c. k. władze rządowe przyjmuje i wykonuje wszelkie roboty — murarskie, ciesielskie stolarskie i kamieniarskie i inne w zakres budownictwa wchodzące, wykonuje plany i kosztorysa — przyjmuje prowadzenie robót budowniczych tak w mieście Lwowie jakoteż i na prowincji. Oraz poleca swój warsztat wyrobu więźb dachowych, schodów i wszelkich innych robót, ręcząc za doborowy zdrowy materjał. Zamówienia, przyjmuje się przy placu Kapitulnym Nr. 2, I. piętro — we Lwowie.

OGŁOSZENIA.

„CONCORDIA“

Isze przedsiębiorstwo pogrzeb. lwowsk.

F. OPUCHLAK

zorganizowane podług wszelkich wymagań, jakich powaga tego rodzaju obrządków wymaga — poleca swoją usługę.

Ma zawsze na składzie wszelkie przybory i zajmuje się zupełnem urządzaniem pogrzebów.

Ceny najprzystępniejsze — podzielone na klasy.

Doskonałość **trumien metalowych** znaną jest powszechnie, gdyż takowe sprowadzone są z najpierwszych renomowanych fabryk, oraz wszelkiego rodzaju trumien drewnianych. — Zamówienia uskutecznia natychmiast.

Jak **„Concordia“** spełnia zlecenia, przekonywają o tem liczne piśmienne podziękowania, które w każdej chwili można przejrzeć. (626-8-7)

Lwów, plac Katedralny l. 3.

Aleksander Pinkalski. Blacharz w Krakowie ulica Grodzka l. 88, w domu Wgo Schwarza otworzył pracownię i skład wszelkich wyrobów blacharskich, jako to: wanien, tuszów, sitzbadów, bidetów, water-closetów, wszelkiego rodzaju maszynek do kawy, również różnych naczyń w zakres tegoż wchodzących. Podejmuje się pokrycia dachów różnemi metalami tak w miejscu jak i na prowincji. (547-9-9)

F. Müller, ulica Łyczakowska l. 4. we Lwowie, krawiec męski, poleca swoją pracownię w najlepszych wyrobach, przytem wykonuje wszelki w zakres krawiecki wchodzące roboty, przyjmuje rzeczy do czyszczenia i przerabiania i uskutecznia takowe jak nowe po najtańszej cenie, wszelkie zamówienia uskutecznia szybko. (649-4-3)

Władysław Glixelli, wyroby złote i srebrne w Krakowie przy ul. Grodzkiej nr. $53^{26}/_{21}$. Wszelkie zamówienia i zamiany uskutecznia. Złoto, srebro i drogie kamienie zakupuje. (565-9-9)

Walery Rzewuski dom własny przy plantacjach na Wesołej. Zakład otworzony w Krakowie w r. 1860 obecnie urządzony wedle wszelkich wymogów sztuki fotograficznej i dobrego smaku. Wykonuje fotografje z połyskiem, tuzin kartek 6 złr. pół tuzina 3.50. Prac swoich dotychczas na żadne wystawy nie dawał. (557-9-9)

J. Gluziński dawniej *Stanisław Armatys* w Krakowie ul. Grodzka, poleca swój magazyn obficie zaopatrzony we wszelkiego rodzaju futra męskie i damskie po umiarkowanej cenie. Zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie. (569-9-9)

Fedumo i Schramm polecają w najnowsze maszyny i przyrządy zaopatrzony zakład introligatorski i galanteryjny w Krakowie Rynek główny l. 16 w podwórzu na dole. Przyjmują najozdobniejsze i najpojedyńczsze oprawy książek i wszelkie inne roboty w zakres introligatorski wchodzące i wykonują takowe po cenach najniższych. (548-12-8)

Ignacy Matusiński w Krakowie. Rynek główny 18. Poleca swój nowo założony handel galanteryjny najobficiej zaopatrzony w towary w zakres tego handlu wchodzące, a mianowicie: Wszelkie przybory do krawieczczyzny. Ogromny wybór artykułów do toalety męzkiej i damskiej zawsze świeże i modne. Skład parfumeryj i mydeł; oraz *największy skład zabawek dziecinnych.* — Ceny stałe umiarkowane tak, że konkurencyę robię wszystkim izraelitom. Zamówienia zamiejscowe uskuteczniam „pocztą odwrotną,“ nie licząc za opakowanie. (639-12-1)

W. Bazes w Krakowie, Rynek Główny nr. 16. Skład szkła, porcelany, fajansu i listew złoconych, oraz świeczników kościelnych i salonowych. Przyjmuje także oszklenia nowych jakoteż starych budynków z lustrowych, belgijskich i krajowych tafli, po jak najumiarkowańszych cenach. Wszelkie zamówienia uskutecznia odwrotną pocztą. (541-6-3)

E. Leicht. Fabryka pozłotnicza w Krakowie w domu gdzie kawiarnia Wielandowej, poleca wykonanie kościelnych dekoracyj, wszelkich salonowych robót, bieli staloryty i drzeworyty; także posiada gotowe konsole ścienne i stoliki pod lustra. Przyjmuje reperacje antyków. Zamówienia załatwia jak najspieszniej po bardzo umiarkowanej cenie. (545-12-10)

Andrzej Szklarski. Fabryka siodeł i wyrobów rymarskich przy ulicy Florjańskiej w Krakowie, poleca skład własnego wyrobu siodeł męzkich i damskich, uprzęży różnego rodzaju, przyborów podróżnych i myśliwskich, oraz wszelkich wyrobów galanter. jnosiodlarskich po cenie umiarkowanej. Wszelkie zamówienia nowych przedmiotów i reperacyj wykończa najstaranniej i najpunktualniej, skład ten zaszczycony jest 7 medalami na różnych wystawach kraju. (572-12-9)

A. Rothe przy ulicy Sławkowskiej l. 260 w Krakowie, poleca swój magazyn obficie zaopatrzony z własnej fabryki pierników kilkanaście gatunków, które zupełnie na sposób toruńskich pierników są sporządzane, tak że przewyższają wszystkie dotychczas istniejące w kraju dobrocią tak i trwałością w konserwowaniu się — a przytem poleca i wyrób świec woskowych własnego wyrobu. Wszelkie zamówienia uskutecznia sumiennie i szybko pod gwarancją. Ceny umiarkowane. (571-12-10)

Handel pod „Palma“ Antoniego Hawełki w Krakowie, poleca wszelkie towary korzenne wina, rumy i araki, likiery, porter angielski, piwo, herbatę rosyjską braci K. i S. Popow, w paczkach orygin. i londyńską na funty, i wszystko co wchodzi w zakres handlu korzennego. (567-18-8)

Ludwik Solecki rękawicznik i bandażysta naprzeciw „Hotelu Galicyjskiego“ w Kołomyi, poleca P. T. Publiczności swój SKŁAD wyrobów rękawiczniczych t. j rękawiczek balowych, glase różnokolorowych, jeleńkowych rozmaitych gatunków, szelek, i t. p. po cenie umiarkowanej. (618-4-4)

Franciszek Dąbrowolski przy ulicy Władycz niższy w domu p. Jarolima budowniczego nr. 149 w Przemyślu, poleca ogromny zapas wszelkiego rodzaju lnu własnego wyrobu, płótna od najcieńszej do najgrubszej, tudzież ręczniki, obrusy, serwetki, wszystko wykonuje we własnej fabryce z prawdziwego lnu, i sprzedaje takowe po miernej cenie. (579-12-7)

Skład trumien metalowych

Fr. Ebert

w Krakowie przy ulicy Franciszkańskiej l. 165. (562-12-10)

Tapety francuskie, holenderskie i saskie świeżo sprowadzone, w rozmaitych gatunkach i w wielkim wyborze rulon od 20 ct. i wyżej, także sztukaterye sufitowe, ceraty na meble i story do okien — polecają **Kutrzeba Murczyński** w Krakowie. (461-20-18)

Fabryka krakowskich pierników Kaspra Molęckiego w Krakowie przy ulicy Brackiej, poleca pierniki toruńskie salonowe. (607-?-5)

Med. i Chir. Dr. Mahl (do chorób gardła i piersi) powrócił i ordynuje jak dawniej od 3. do 4. ulica Jagiellońska l 14. (608-9-5)

C. k. uprzywilejowana

FABRYKA LAMP

R. DITMAR

we Wiedniu i Warszawie.

Nowe cenniki za rok 1879 dla odprzedających wyszły.

Lampy stołowe i do zawieszania

najrozmaiciej wykonane i po najtańszych cenach fabrycznych.

BRENERY (*Sonnenbrenner*)

przewyższają wszystkie znane brenery w doniosłości światła

Iluminacyjne brenery płaskie

(1—4) dające się zastosować do talerza szklanego lub umbry bez szkła cylindrowego

WE LWOWIE

główny skład lamp R. Ditmara przy placu Marjackim.

Trzy medale zasługi i list pochwalny! Znakomite powodzenie i powszechne uznanie jakie zyskały moje wyroby **na włosy**, zniewalają mnie do podania do publicznej wiadomości, że **Piliptou**, włosom siwym i wypłowiałym po kilkokrotnem użyciu przywraca piękny, naturalny kolor. — **Piliptou**, nie farbuje, lecz tylko odmładza włosy, które pod wpływem tego znakomitego środka odzyskują pierwotną barwę. **Cena flakonu 1 złr. 50 ct. Walentin** najsilniejsze wypadanie włosów w przeciągu dwóch tygodni wstrzymuje, cebulki włosowe wzmacnia i do wytwarzania i porostu włosów pobudza. Miejsca wyłysiałe nieprzedawnione pod działaniem tego środka pokrywają się pięknym włosem. **Cały flakon 3 złr. Pół flakonu 1 zł. 80 cnt. Uniwersalny Płyn** przeciw łupieży. Łupież jest objawem chorobliwego stanu skóry, a lekceważenie jej słabości sprowadza wypadanie i siwienie włosów. Uniwersalny płyn jest tak znakomitym środkiem, że jeden flakon wystarcza na całkowite usunięcie łupieżu i kosztuje tylko 1 złr. **Nigretina.** Po długiem doświadczeniu udało mi się wynaleźć wyborny środek do natychmiastowego farbowania włosów na trwały i piękny kolor czarny lub ciemny; jest on zupełnie nieszkodliwy i w zastosowaniu bardzo prosty. **Cena 1 złr.**

Nabyć można oprócz w zakładzie także w aptekach pp. Dylskiego w Krakowie. Sztechera w Stanisławowie, Jamrógiewicza w Tarnopolu, Zgórskiego i Gyrthnera w Stryju i we wszystkich pierwszorzędnych sklepach galanteryjnych. **J. HINATOWICZ magister farmacji i chemik sądowy we Lwowie. ul. Kopernika l. 3.** (645-5-1)

J. Cirok przedtem *E. Ziegler* rękawicznik i bandażysta we Lwowie Rynek l. 30, poleca swój skład własnego wyrobu wszelkiego rodzaju *towarów rękawiczniczych* mianowicie: szelki, krawatki, szaliki, bandaże płócienne i elastyczne, pończochy gumielastyczne, oraz rozmaite wyroby skórkowe po stałych i umiarkowanych cenach. Zamówienia z prowincji uskuteczniają się odwrotną pocztą. (474-12-12)

Zakład naukowo wychowawczy żeński **Eufemii Niesiołkowskiej** w Krakowie ulica św. Jana l. 312, obok domu księżnej Cecylji Lubomirskiej. Jak dotąd tak i nadal poleca się względom szanownych rodziców i opiekunów. Udziela się tamże prócz nauk szkolnych języków: francuskiego, angielskiego, niemieckiego, rysunków, muzyki, śpiewu. Konwersacja ciągła z cudzoziemcami zostającymi w zakładzie. Szanowni rodzice życzący sobie swe córki umieścić w tymże zakładzie, raczą zgłaszać się listownie lub osobiście. Programy na żądanie przesyłane. (554-12-7)

Pasquale Zacchi

we Lwowie

Poleca rozmaite statuy i statuetki Przenajśw. Panny Marji, na nabożeństwa majowe, z gipsu-steryny, masy, alabastru i marmuru w różnych rozmiarach, po cenach umiarkowanych, począwszy od 25 do 30 ct. i wyżej.

Nauki historji i literatury

udziela się pod bardzo korzystnymi warunkami.

Zgłoszenia listownie p. adr. E. Z. w Administracji „Dziennika dla Wszystkich“.

Zmiana lokalu. Ferdynand Fiedler w Stanisławowie fabryka wyrobów mebli, oraz wielki skład mebli w domu własnym, dawniej w hotelu Kamińskiego, obecnie przeniósł do domu *L. Krona* w miejscu dawnej poczty. Posiada pracownię stolarską, jest w możności wykonywać wszelkie roboty stolarskie hurtownie i częściowo, podług rysunku, trwale, szybko i po umiarkowanej cenie. (616-6-6)

Wyciąg z cennika towarów z magazynów

JULIUSZA MIKOLASZA

we Lwowie za rogatkami grodeckiemi.

I.	Kawa przednia gruboziarnista 1 kilo	złr. 2·—
II.	„ „ perłowa 1 kilo	„ 2·—
III.	„ „ Mocca 1 kilo	„ 1·50
IV.	„ bardzo dobra Ceylon 1 kilo	„ 1·88
V.	„ Jawa złota 1 kilo	„ 2·—
	Koniak bardzo stary Maison blanche cała flaszka	„ 10·—
	pół flaszki	„ 5·50

Cenniki rozsełam na żądanie franco. (585-10-8)

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński.

Z drukarni K. Pillera.

Dodatek powieściowy

do Nr. 34.

DZIENNIKA DLA WSZYSTKICH

BEZ RODZINY

POWIEŚĆ

przez

HEKTORA MALOT

Przekład z francuskiego.

(Dokończenie, patrz Dodatek Nr. 33.)

XVI.

W Rodzinie.

Upłynęły lata — liczne, lecz krótkie, bo wypełniały je piękne słodkie dni.

Obecnie mieszkam w Anglji, w Milligan-Park, zamku mych przodków.

Dziecię bez rodziny, bez podpory, opuszczone i samotne wśród świata, rzucone na wszelkie kaprysy ślepego przypadku, rozbitek bez światła mogącego mu posłużyć, jako zbawcza wskazówka w rozpacznej walce z miotającą nim falą, nie mający nigdzie cichej przystani, aby się schronić — posiada teraz nietylko ukochaną matkę i brata, kochany od nich wzajemnie, lecz jeszcze szczyci się przodkami, po których odziedziczył szanowane w swej ojczyźnie nazwisko i piękny majątek.

Mały nędzarz, który w dziecinnych latach spędził tyle nocy w pustych stodołach, oborach, lub w lecie pod gołem niebem, jest obecnie dziedzicem starego historycznego zamku — zalecanego turystom w *przewodnikach po Anglji*, jako rzecz ciekawą do zwidzenia.

Zamek ten oddalony najwięcej dwadzieścia mil na zachód od miejsca, w którem wsiadałem na statek ścigany przez policję, wznosi się ponad doliną zarosłą gęsto drzewami, pomimo bliskości morza. Zbudowany na płaskim wierzchołku wzgórza, w kształcie czworoboku, zakończonego na każdym rogu okrągłą wieżycą. Dwa frontony: południowy i zachodni, stroją sploty wonnego kapryfolium i pnących się róż, północny zaś i zachodni ocieniają bluszcze, których pnie posiadające przy ziemi objętość mężkiej postaci, dowodzą poważnej ich starości — a ogrodnicy pilnie baczyć muszą, aby ich bujna roślinność nie ukryła zupełnie pod swym zielonym płaszczem delikatnych łuków i arabesków wykutych w białym kamieniu, a będących ozdobą okien. Obszerny park otacza zamek, stare tam drzewa, nietknięte nigdy ostrzem noża, ni siekiery — a czyste, przezrocze fontanny skrapiające trawniki utrzymują je zawsze w stanie powabnej zieloności. Na wierzchołki odwiecznych buków zlatują co noc stada czarnych wron, oznajmiając swem krakaniem początek i koniec każdego dnia.

W tym to starym zamku Milligan-Park mieszkamy razem: moja matka, mój brat, moja żona i ja. Od sześciu miesięcy, jak osiedliliśmy się tam stale, spędziłem wiele godzin w archiwum rodzinnem, gdzie się przechowują rodowe nasze dokumenta, tytuły własności i nadania przywilejów, pochylony nad szerokim dębowym stołem zczerniałym od starości, zajęty pisaniem; przedmiotem przecież mej pracy nie jest żaden z tych dokumentów — lecz książka zawierająca moje wspomnienia, którą przeglądam i porządkuję.

Wkrótce ma się odbyć chrzest naszego pierworodnego dzieciątka, naszego synka, małego Mattia i podczas tej uroczystości, mającej zgromadzić w zamku mych ojców wszystkich tych, którzy w smutnych dniach mego życia byli mymi przyjaciółmi — chciałbym ofiarować każdemu z nich jeden egzemplarz opowiadania przygód, w które byli wmieszani, jako dowód wdzięczności za otrzymaną wówczas pomoc, lub okazywaną życzliwość biednemu podrzutkowi. Po ukończeniu każdego rozdziału, odsełam go bezzwłocznie do Dorchester do litografa i dziś właśnie oczekuję kilkunastu kopij mego rękopismu, aby je rozdać pomiędzy zaproszonych gości.

Zebranie to jest zarówno niespodzianką dla mających przybyć, jak i dla mej żony, nie spodziewającej się wcale zobaczyć ojca, siostry, braci i ciotki; do tej tajemnicy przypuszczona jest tylko moja matka i brat: a jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie mym wyrachowaniom, wszyscy oni znajdą się dziś pod mym dachem i ujrzę ich z radością około mego stołu.

Jednego tylko brakować będzie wśród tej uroczystości, bo chociaż wielką jest potęga złota, nie może jednak przywołać zmarłych do życia. Biedny, kochany, stary mistrzu, jakże byłbym się czuł szczęśliwym, zapewniając ci spokój na resztę dni twego życia. Byłbyś zawiesił w kącie kobzę, kożuszek i aksamitną kurtkę; nie byłbyś więcej powtarzał: „Naprzód dzieci, marsz!“ Szanowna starość byłaby ci pozwoliła wznieść do góry piękną, białym włosem okrytą głowę i powrócić do prawdziwego nazwiska. Vitalis — stary włóczęga, byłby znów Carlo Balzanim sławnym śpiewakiem. Ale czego nielitościwa śmierć nie pozwoliła mi dokonać dla ciebie, to przynajmniej uczyniłem dla twej pamięci i w Paryżu na cmentarzu Montparnasse, nazwisko Carlo Balzani znajduje się wyryte na kamieniu grobowym, położonym tam na moje prośby przez moją matkę, a popiersie bronzowe odlane według portretów sprzedawanych w czasach twej świetności, przypomina twą sławę tym, którzy ci nie szczędzili niegdyś oklasków; kopię tego popiersia odlano dla mnie, mam ją właśnie przed sobą i opisując pierwsze lata mych przygód, w miarę rozwijania się wydarzeń, oczy moje często spoczywały na twej twarzy. Nie zapomniałem cię i nie zapomnę nigdy, bądź pewnym. Jeżeli podczas tej egzystencji pełnej niebezpieczeństw dla samotnego dziecka, nie potknąłem się, nie upadłem, tobie to zawdzięczam, twym naukom, twemu przykładowi, o mój stary nauczycielu! Przy każdej też uroczystości zachowam miejsce dla ciebie; jeżeli ty mnie nie zobaczysz, ja ciebie widzieć będę.

Ale oto przez portretową galerję nadchodzi moja matka, czas nie przyćmił jej piękności i widzę ją dziś taką samą, jak była wówczas, gdy po raz pierwszy zobaczyłem ją pod werendą „Łabędzia,“ szlachetna jej postawa, pełna słodyczy i łagodności, tylko z jej pięknej twarzy znikł cień smutku pokrywający ją wówczas bezustannie.

Postępuje wsparta na ramieniu Artura, bo teraz już nie matka podtrzymuje wątłego, chwiejącego się syna, lecz ten syn piękny, tęgi młodzieniec, wprawny we wszystkie gimnastyczne ćwiczenia, zręczny jeździec, wytrwały żeglarz, nieustraszony myśliwiec, z tkliwą troskliwością podaje matce ramię, gdyż wbrew przepowiedniom mego stryja pana James Milligan, cud się dokonał, Artur żyje i żyć będzie.

O kilka kroków za nami, widzę starą kobietę w ubraniu francuskiej wieśniaczki, niosącą małe dzieciątko, w białym płaszczyku; stara wieśniaczka — to matka Barberin, a dzieciątko moje, mój syn, mały Mattia. Gdy odnalazłem moją matkę, chciałem koniecznie, aby matka Barberin pozostała z nami, lecz nie chciała przystać na to.

— Nie, mój Romciu — odpowiedziała — moje miejsce nie jest jeszcze teraz u twej matki. Ty musisz się uczyć, aby się stać prawdziwym panem przez naukę, jak nim już jesteś przez urodzenie. Cóż robiłabym przy tobie? Moje miejsce nie jest w domu twej prawdziwej matki. Pozwól mi wrócić do Chavanon. Ale pomimo to, rozłączenie nasze może przecież nie będzie wiecznem. Dorośniesz, ożenisz się, będziesz miał dzieci. Wtedy, jeżeli zechcesz, a ja żyć będę, powrócę, aby je wychowywać. Starość nie przeszkadza dobrze pielęgnować dzieci, bo posiada się doświadczenie, a nie śpi za wiele. A przytem kochać je będę, to twoje maleństwo i nie mnie, to możesz być pewnym, mogliby je ukraść, jak skradziono ciebie.

Stało się według życzenia matki Barberin; przed przyjściem na świat naszego synka, posłałem po nią do Chavanon i wszystko natychmiast rzuciła, rodzinną wioskę, przyzwyczajenia, przyjaciół, krowę pochodzącą od tej, którą dostała od nas, by przybyć do Anglji na nasze wezwanie. Naszego malutkiego Mattia matka karmi sama, lecz pielęgnuje, bawi i pieści matka Barberin, dowodząca, że piękniejszego dziecka nie widziała nigdy w życiu.

Artur trzyma w ręku ostatni numer *Times'a* i kładąc go przedemną na stole, zapytuje, czy go czytałem, a na moją przeczącą odpowiedź wskazuje mi palcem ustęp w korespondencyi z Wiednia, brzmiącej jak następuje:

„Będziecie tam mieli wkrótce w Londynie odwiedziny Mattia: pomimo szalonego powodzenia, jakiego tutaj doznawały jego koncerty, opuszcza nas, by uczynić zadość zobowiązaniom powołującym go do Anglji, a którym nie może uchybić. Pisałem wam już o jego koncertach, robiły one tutaj wielkie wrażenie, tak przez potęgę i oryginalność muzyka-wykonawcy, jak przez znakomity talent kompozytora; jednem słowem: Mattia, to Chopin skrzypek.“

Lecz ja nie potrzebowałem czytać tego artykułu, aby wiedzieć, że mały uliczny grajek, mój towarzysz i uczeń, stał się wiel-

kim artystą; patrzyłem na Mattia wzrastającego i, jak się rozwijał, a jeżeli podczas nauki udzielanej przez światłego nauczyciela nam trzem: Arturowi, Matti i mnie, Mattia niewiele korzystał w łacinie i greckim języku, za to w muzyce pracując pod kierunkiem najlepszych mistrzów, których mu moja matka dawała, czynił zadziwiające postępy i nietrudno było przewidzieć przyszłą jego sławę. Jednak ta korespondencja z Wiednia napełniła mnie dumną radością, jak gdyby i na mnie przypadała część sławy z tych oklasków, których była echem. A czyż w istocie nie otrzymywałem jej? Czyż Mattia nie jest drugim ja, mym towarzyszem, przyjacielem, bratem? Jego tryumfy są memi zarazem, tak jak moje szczęście, jest jego szczęściem.

W tej chwili służący podał mi depeszę telegraficzną, przyniesioną z pobliskiego miasteczka.

„Być może jest to droga najkrótsza, nie powiem przecież, aby była najprzyjemniejszą; zresztą czy podróże morskie mogą być przyjemne? Jakiekolwiekbądź są one, dość, że byłem tak chorym przez cały czas naszej przeprawy, iż zaledwo w Red-Hill znalazłem siły zawiadomić cię o naszem przybyciu. Przejeżdżając przez Paryż, zabrałem Krystynę; w Chegford staniemy o godzinie czwartej minut dziesięć — przyszlij po nas konie. *Mattia.*“

Czytając wzmiankę o Krystynie, spojrzałem na Artura, lecz odwrócił oczy, dopiero, gdy skończyłem całą depeszę, podniósł je na mnie.

— Mam ochotę jechać sam do Chegford — rzekł — każę zaprządz do otwartego landa.

— Wyborna myśl — odparłem — tym sposobem będziesz z powrotem siedział naprzeciwko Krystyny.

Artur nie odpowiedziawszy, ani słowa, wyszedł szybko, a ja odezwałem się do naszej matki:

— Widzisz mamo. Artur nie ukrywa się wcale z pośpiechem; to rzecz znacząca.

— Bardzo znacząca nawet.

Zdawało się, że w głosie mej matki przy wymówieniu tych dwóch słów, brzmiało pewne niezadowolenie — zbliżywszy się więc, ująłem jej obydwie ręce, a całując je, odezwałem się:

— Droga mamo, — mówiłem po francusku, gdyż zwykle posługiwałem się tym językiem, chcąc do mej matki mówić pieszczotliwie, jak małe dziecko; — droga mamo, niech cię nie martwi miłość Artura do Krystyny. Wprawdzie przeszkodzi mu to do zawarcia świetnego małżeństwa, skoro w opinji świata świetne małżeństwo nazywa się połączenie majątku z dobrym rodem. Ale czy mój przykład nie wskazuje, że można być szczęśliwym, bardzo szczęśliwym? najszczęśliwszym nawet, chociaż wybrana kobieta nie posiada, ani rodowodów, ani posagu. Czy nie chcesz, aby Artur był również, jak ja szczęśliwym. Czy tej pobłażliwości, jaką miałaś dla mnie, nie mogąc nie odmówić dziecku opłakiwanemu przez lat trzynaście, nie będziesz mieć i dla drugiego syna? Czy będziesz mniej względną dla jednego dziecka, niż dla drugiego?

Matka moja przesunąwszy ręką po mem czole, uściskała mnie.

— Ach! poczciwe dziecko — rzekła — dobry brat! jakież to skarby uczucia mieszczą się w twem sercu!

— To oszczędność z lat dawnych; ale nie idzie tu o mnie, tylko o Artura. Powiedz mamo, gdzie on znajdzie powabniejszą kobietę od Krystyny? Przyznasz sama, że to prawdziwy cud włoskiej piękności. A wychowanie, jakie odebrała, gdyśmy ją przywieźli z Lukki, czy nie nadaje jej prawa zająć chociażby najwybitniejszego stanowiska pośród najwięcej nawet wymagającego towarzystwa?

— Ty, bo patrzysz na Krystynę, jako na siostrę twego przyjaciela...

— To prawda i wyznaję szczerze, pragnę z całego serca małżeństwa, przez które Mattia wejdzie do naszej rodziny.

— Czy Artur mówił już z tobą o swych uczuciach?

— Tak, droga mamo — odparłem uśmiechając się — zwracał się do mnie, jako do głowy rodu.

— A głowa rodu?

— Przyrzekła go popierać.

W tej chwili matka moja przerwała naszą rozmowę.

— Oto twoja żona — rzekła — pomówimy później o Arturze.

Kto jest moją żoną, domyślicie się zapewne i nie potrzebuję wam tego mówić, nieprawdaż? Moja żona, to ta sama malutka dziewczynka, o wielkich zdziwionych oczach i wymownej twarzyczce, którą znacie, to Lizia, malutka Lizia, delikatna, powiewna, drobna. Lizia mówi, ale na szczęście pozostała jej dawna delikatność, nadająca jej urodzie niebiański wdziek jakiś. Lizia nie rozłączała się nigdy z moją matką i kształcąc się pod jej okiem, wyrosła na śliczne dziewczę, najśliczniejsze ze wszystkich. Lizia według mego pojęcia, posiada wszystkie zalety i cnoty, bo ją kocham.

Prosiłem mej matki, aby mi ją oddała za żonę, lecz dopiero po długim oporze, gruntującym się, jak mówiła, na różnicy naszego pochodzenia, zgodziła się nakoniec na nasze małżeństwo, ku wielkiemu zgorszeniu niektórych naszych krewnych; z czterech jednak rozgniewanych, trzech już się pogodziło, ujętych wdziękiem Lizi, a czwarty czeka tylko na nasze odwiedziny, podczas których przeprosimy go za nasze szczęście. Odwiedziny te naznaczyliśmy na jutro.

— Cóż się tutaj dzieje? — zawołała wchodząca w tej chwili Lizia. — Widzę jakieś ukrywanie się przedemną, jakieś szepty; Artur pojechał do Chegford, posłano powóz do Ferry; cóżto za tajemnice? powiedz Romciu?

Matka i ja uśmiechamy się, lecz milczymy. Wtedy Lizia obejmując matkę moją za szyję i całując ją serdecznie, mówi wesoło:

— O! skoro ty mamo należysz także do spisku, to już jestem spokojną i zupełnie pewną, że jak zwykle tak i tym razem, myślałaś niezawodnie tylko o naszem szczęściu i przestaję być ciekawą.

Czas upływa, powóz wysłany przezemnie do Ferry, po rodzinę Lizi, powinien przybyć lada chwila; chcąc się więc zabawić tymczasem jej ciekawością, biorę lunetę, przez którą zwykle przypatrujemy się przepływającym okrętom, lecz zamiast skierować ją na morze, zwracam szkło ku drodze, po której jechać będzie powóz.

— Spojrz Liziu przez lunetę — rzekłem — a ciekawość twoja zostanie zadowoloną.

Lizia patrzy, lecz nic nie widzi, oprócz pustej drogi, bo powóz nie nadjechał jeszcze.

Wtedy ja z kolei przykładam oko do szkła.

— Jakto? więc nic nie widziałaś — zapytuję ją tonem Vitalisa prawiącego naukę — ależ ona prawdziwie cudowna; przez nią wzrok mój sięga poza morze w głąb Francji i widzę śliczniutki domek w okolicy Sceaux, a w nim człowieka o siwych włosach, wołającego na dwie znajdujące się przy nim kobiety: „Prędzej! spóźnimy się na pociąg i nie przybędziemy do Anglji w czasie oznaczonym na chrzest mego wnuka; imość Katarzyno pospiesz się trochę, doprawdy; od dziesięciu lat jak mieszkamy razem, spóźniasz się zawsze. A to co? czego chcesz Stefciu? znowu panna żandarm! Wymówka, jaką robię ciotce Katarzynie, jest czysto przyjacielską. Alboż to ja nie wiem, że Katarzyna jest najlepszą siostrą, tak jak ty Stefciu najlepszą córką, która nie wychodzi za mąż, aby pielęgnować starego ojca, przedłużając rolę anioła stróża, spełnianą od dzieciństwa względem braci i siostry?“ Następnie przed samym już wyjazdem wydaje polecenia, odnoszące się do pielęgnowania kwiatów podczas jego nieobecności. „A pamiętaj, że byłem ogrodnikiem — mówi do służącego — i znam się na robocie.“

Przestawiam lunetę, jak gdybym chciał patrzeć w inną stronę:

— Teraz — mówię dalej — widzę statek parowy, olbrzymi statek, powracający z Antyllów i dopływający do Hawru; na pokładzie stoi młodzieniec, wracający z podróży odbytej w celach naukowych nad brzegami Amazonki, a mówią, że przywozi z sobą cały świat roślinności nieznanej w Europie i pierwsza część opisu jego podróży drukowana w dziennikach, jest w istocie niezmiernie ciekawą; nazwisko też Benjamina Acquin sławnem już jest w dziedzinie botaniki, obecnie dręczy go jedna tylko troska, a mianowicie: czy przybędzie do Hawru przed odejściem statku do Southampton, zkąd ma się udać do Millignan-Park do swej rodziny; moja luneta tak jest doskonałą, iż śledzi go wszędzie; widzę, wsiadł na statek płynący do Southampton — więc przybędzie.

I znów zwracam lunetę w innym kierunku, nie przestając mówić:

— O! nietylko widzę, lecz i słyszę nawet dwóch mężczyzn siedzi w wagonie, stary i młody: „Jaka to ciekawa będzie dla nas wycieczka“ — mówi stary.

— Bardzo ciekawa, magistrze. — Bo to kochany Aleksy, oprócz tego, że zobaczysz twoją rodzinę i uściśniesz dłoń Romcia, który nie zapomina o nas, ale jeszcze zwiedzimy kopalnie Gallii, gdzie będziesz miał sposobność poczynić wiele ważnych spostrzeżeń i zaprowadzić według nich z powrotem odpowiednie ulepszenia w la Truyère, co doda jeszcze powagi stanowisku, jakie umiałeś zdobyć przez pracę; ja zaś przywiozę rozmaite próbki i okazy, które dołączę do mego zbioru łaskawie przez miasto Varses przyjętego. Co za szkoda, że Kasper nie mógł z nami jechać!“

Chciałem opowiadać dalej jeszcze, lecz Lizia przysunąwszy się, objęła moją głowę obydwiema rękami i serdecznym pocałunkiem zamknęła mi usta.

— Ach! co za słodka niespodzianka! — zawołała głosem drżącym od wzruszenia.

— Nie mnie powinnaś za nią podziękować, ale naszej mateczce, ona to, bowiem, pragnęła zgromadzić tych wszystkich, którzy byli dobrymi dla jej opuszczonego syna i gdybyś mi była nie zamknęła ust, byłabyś się jeszcze dowiedziała, że oczekujemy także poczciwego Boba, a obecnie najsła-

wniejszego *showman* w Anglji i jego brata dowodzącego zawsze „Błyskawicą.“

W tej chwili dał się słyszeć turkot jednego powozu, po nim tuż zaraz drugiego: rzuciwszy się do okna, ujrzeliśmy nadjeżdżający powóz, w którym Lizia poznała ojca, ciotkę Katarzynę, Stefcię, Aleksego i Benjamina. Obok Aleksego siedział pochylony starzec z białą głową — to magister. Z przeciwnej strony zbliża się także otwarte lando, z którego Mattia i Krystyna przesyłają nam rękami znaki powitania; tuż za niemi pędzi kabrjolet: Bob sam powozi, a wygląda zupełnie, jak gentleman, brat jego zachował tą samą powierzchowność, jaką miał wówczas, gdy nas przywiózł do Isigny.

Schodzimy żywo ze schodów, aby przyjąć naszych gości w progu przedsionka.

Podany obiad zgromadził nas wszystkich w około jednego stołu i naturalnie rozmowa toczyła się o przeszłości.

— Niezbyt dawno — mówi Mattia — spotkałem w Baden, w domu gry, gentlemana o białych spiczastych zębach; uśmiechał się, chociaż szczęście nie bardzo mu sprzyjało; nie poznał mnie i doznałem zaszczytu, że mnie poprosił o pożyczenie guldena na zupełnie pewną stawkę, miała to być niba spółka; ale nam się jakoś nie powiodła: master James Milligan przegrał.

— Dla czego to opowiadasz, kochany Mattia, przy Romciu? — odezwała się moja matka — gotów jeszcze posłać stryjowi wsparcie.

— Zgadłaś, kochana mamo.

— Więc jakaż będzie kara?

— Kara będzie w tem, że stryj mój, który poświęcił wszystko dla posiadania majątku, zawdzięczać będzie kawałek chleba siostrzeńcom, których prześladował i pragnął ich śmierci.

— A ja miałem wieści o jego wspólnikach — wtrącił Bob.

— Czy o szkaradnym Driscollu? — zapytał Mattia.

— Nie o nim samym, gdyż jest on zapewne ciągle w koloniach karnych, lecz o jego rodzinie; mama Driscoll umarła z poparzenia, położywszy się pewnego dnia w kominie, zamiast na stole, a Allen i Ned zostali niedawno skazani na wywiezienie; połączą się więc z ojcem.

— A Katty?

— Katty pielęgnuje starego dziadka, który dotąd żyje; mieszkają zawsze w podwórzu Czerwonego Lwa; stary ma pieniądze. — więc nie są nieszczęśliwi.

— Jeżeli Katty jest zwolenniczką ciepła — rzekł Mattia śmiejąc się — to jej żałuję: stary nie lubi, aby się zbliżano do jego kominka.

I do tych wspomnień przeszłości każdy dorzuca słowo — wszakże one wspólne nam wszystkim, to węzeł, który nas łączy.

Po skończonym obiedzie, Mattia odprowadził mnie na bok we framugę okna.

— Wiesz, mam pewną myśl — mówi — skoro graliśmy tak często dla obcych, moglibyśmy też zagrać i dla ukochanych.

— Więc dla ciebie nie ma przyjemności bez muzyki? Bądź co bądź, wszędzie i zawsze muzyka; ale pamiętaj o przestrachu naszej krowy.

— Chcesz grać twoją neapolitańską piosenkę?

— Z przyjemnością, bo przez nią Lizia odzyskała mowę.

I zabieramy się do koncertu: Mattia z pięknego pudełka, wybitego aksamitem, wydobywa skrzypce, za które nie danoby więcej jak dwa franki, gdybyśmy je chcieli sprzedać, ja zdejmuję pokrowiec z arfy, a drzewo jej wielokrotnie zmywane przez deszcze, odzyskało w zupełności swą naturalną barwę. Obecni otaczają nas wokoło, ale w tej chwili zjawia się pies pudel, zjawia się Capi; poczciwy Capi, stary już bardzo, głuchy, zachował jednak dobry wzrok i z poduszki też, na której zawsze leży, poznawszy swoją arfę, przywlókł się na „przedstawienie;“ w zębach trzyma spodeczek, chciał obejść wokoło na dwóch łapach „prześwietne zgromadzenie,“ lecz zabrakło mu sił na to, usiadł więc i kłaniając się z powagą całemu „towarzystwu,“ przyłożył łapę do piersi. Po skończeniu piosenki Capi się podnosi i jak może obchodzi wszystkich „za składką;“ każdy wkłada swój dar do spodeczka, a Capi zachwycony przynosi mi zebraną sumę. Jest to najwspanialsza, jaką kiedykolwiek zebrał, składa się, bowiem, z samych sztuk srebrnych i złotych, a wynosi 170 franków.

Uściskałem go, jak dawniej, gdy mnie pocieszał, a to wspomnienie udręczeń mego dzieciństwa nasuwa mi myśl, którą w tej chwili wypowiadam głośno:

— Niechże suma ta będzie początkiem kapitału na mający się wznieść dom przytułku i schronienia dla biednych małych grajków ulicznych; moja matka i ja dodamy reszte.

— Droga pani — odzywa się Mattia, całując rękę mej matki — proszę cię, daj mi także wziąć maleńki udział w twem dobroczynnem dziele i jeżeli pozwolisz, dochód z mego pierwszego koncertu w Londynie, dołączy się do składki, którą zebrał Capi.

KONIEC.

OGŁOSZENIA.

Album Wojska Polskiego.

Staraniem Redakcji „Dziennika dla Wszystkich“ czasopisma illustrowanego, wychodzącego we Lwowie, wyjdzie:

„Album Wojska Polskiego“

Album Wojska Polskiego wyjdzie w *dwunastu zeszytach* na pięknym grubym papierze i obejmować będzie wizerunki wszystkich niższych, wyższych i najwyższych stopni wszelkiej broni całkowitej armji polskiej z przed 1831 roku, jak również i tych pułków, które się sformowały w czasie powstania 1831. roku. Wizerunki będą wykonane *kolorami* w ten sposób, aby każda postać przedstawiała najdokładniej uniform żołnierzy, podoficerów, wachmistrzów, oficerów wszystkich stopni aż do jenerałów, wszelkiej broni i wszystkich pułków, brygad, dywizyj i korpusów, a także i głównodowodzącego.

Redakcja „Dziennika dla Wszystkich“ postara się, aby Album Wojska Polskiego było najdokładniejsze i, aby nic nie było pominięte.

Pod każdym wizerunkiem znajdować się będzie objaśniający i szczegółowy podpis. Każdy zeszyt posiadać będzie tymczasową okładkę, a tytuł ogólny do Albumu, wykonany zostanie *ozdobnie sposobem litograficznym.*

Redakcja „Dziennika dla Wszystkich“ mając do rozporządzenia zdolnych rysowników, zapewnić jest w stanie, że Album Wojska Polskiego pod względem artystycznym i technicznym, odpowie wszystkim wymaganym warunkom, a stanowiąc żywe wspomnienie bohaterskiej armji polskiej, będzie pożądaną pamiątką dla każdej rodziny w Polsce.

Aby Album Wojska Polskiego, jak się wyżej rzekło, było dokładne, Redakcja „Dziennika dla Wszystkich“ postarała się skorzystać nie tylko ze zbiorów rycin po publicznych bibliotekach, lecz uda się także do niektórych prywatnych zbiorów.

Album Wojska Polskiego wyjdzie w 3ch serjach, każda serja składać się będzie z 4ch zeszytów, każdy zeszyt formatu wielkiej 8ki, obejmować będzie mniej, lub więcej około 8miu rycin, wykonanych odpowiedniemi kolorami.

Pragnąc uprzystępnić, o ile możności, najszersze nabycie Albumu Wojska Polskiego, oddajemy takowe w drodze prenumeraty.

Całkowite Album, to jest wszystkie *3 serje* tak w miejscu, jak w całej Galicji i Austrji (z przesełką pocztową) wynosi **12 złr. w. a.**, w Poznańskiem, Prusach i Niemczech **24 marek**, we Francji innych krajach, i w Ameryce **30 franków**.

Prenumerata na **pierwszą serję** (4 zeszyty), wynosi z przesełką pocztową:

w Galicji i Austrji	4 złr.
w Poznańskiem, Prusach i Niemczech	8 marek.
we Francji, w innych krajach i w Ameryce	10 franków.

Pieniądze prenumeracyjne należy przesełać w listach rekomendowanych, lub najdogodniej przekazami pocztowymi, adresując:

Do Administracji „Dziennika dla Wszystkich“ we Lwowie, przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1.

Można także nadsełać prenumeratę całkowitą na wszystkie **trzy** serje, lub na **dwie,** stosownie do życzenia.

Prosimy o dokładne wypisywanie adresu prenumeratora.

Każdy nadsełający prenumeratę, otrzymywać będzie pocztą zeszyty, zaraz po wyjściu każdego z druku.

Prosimy o wczesne nadsełanie prenumeraty, abyśmy mogli obliczyć nakład, który jest kosztowny.

Pierwszy zeszyt wyjdzie w końcu listopada 1880 roku, o wyjściu następnego zeszytu, ogłoszonem będzie na okładce pierwszego zeszytu. Zeszyty wychodzić będą w krótkich po sobie następujących terminach, tak, że całe Album Wojska Polskiego, ukończonem zostanie w ciągu kilku miesięcy.

Zaraz po wyjściu pierwszej serji, cena Albumu Wojska Polskiego w handlu księgarkim znacznie podniesioną zostanie.

Redakcja „DZIENNIKA DLA WSZYSTKICH“ we Lwowie.

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński.

Z drukarni K. Pillera.